NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

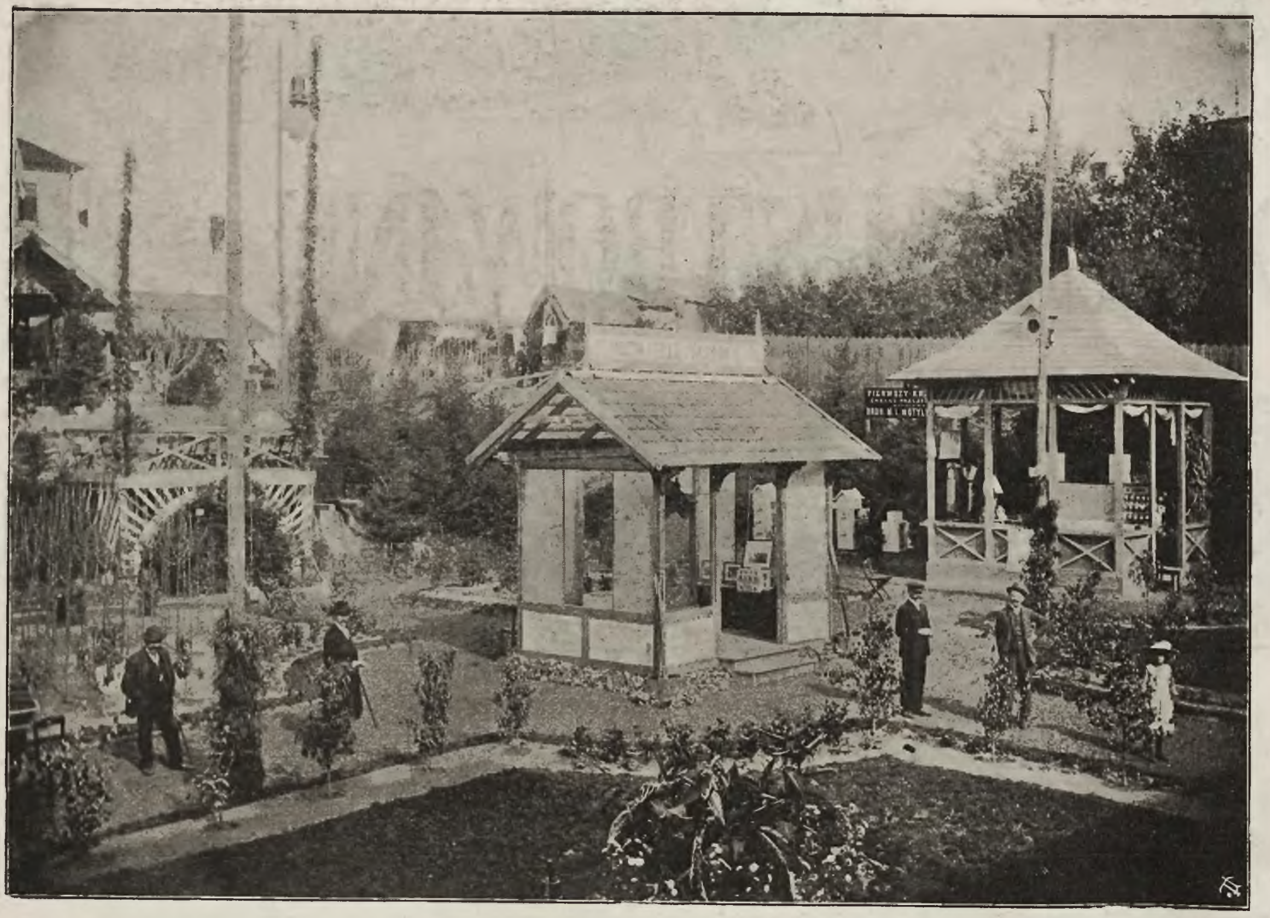
Rok II. Kraków, 14 października 1905 r. Nr. 42.

Angelus i wspólnicy przed sądem.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.



Wystawa przemysłowa w Tarnowie: Widok wystawy w perspektywie. Fot. E. Mroczkowski. Tarnów.

Angelus i wspólnicy przed sądem.

(Do illustracyi tytułowej).

Trzeba być rodowitym krakowianinem, żeby sobie zdać dokładnie sprawę z doniosłości procesu, jaki się w ciągu ubiegłego i bieżącego tygodnia rozgrywał przed krakowskim trybunałem przysięgłych. Przed sądem stanęli bowiem jako oskarżeni Włodzimierz Angelus, właściciel zakładu zastawniczego przy ul. Wiślnej, Franciszek Limanowski, taksator kosztowności w tymże zakładzie i Julia Brachówna, manipulantka u Angelusa. Główny oskarżony, Angelus, jest typem dorobkiewicza, który mógł wyróść jedynie na gruncie krakowskim. Bo u tego człowieka nie było przecież ani inteligencyi, był on bowiem kupczykiem, potem właścicielem handlu galanteryjnego, ani nie było powagi, Angelus jest bowiem wzrostu niskiego, niepozornego. Czemże więc potrafił ten człowiek tak się wybić, że był właścicielem lombardu, że w ostatnim roku postawił sobie olbrzymią kamienicę? Oto jedynie nadzwyczajnym sprytem i bezczelnością, którą rzeczywiście naiwnym imponował.

Któż nie znał w Krakowie prywatnego lombardu Angelusa? Któż się nim nie interesował? Od rana do zmierzchu gromadziły się w ciemnej sieni domu pod liczbą 3 przy ul. Wiślnej tłumy ludu, spieszące do tego „dobroczynnego“ zakładu zastawniczego. Niesiono tam do zastawu zarówno na tysiące szacowane klejnoty, jak wyniszczone odzienie, lub wytartą obrączkę ślubną, by dla zakupna węgla w zimie, lub kawałka chleba dla rodziny, wziąć za nie w zastawie kilka koron, lub kilkadziesiąt groszy. Przez całe sześć lat nie zdawano sobie w Krakowie sprawy z faktu, że ten „dobroczynny“ zakład zastawniczy był przybytkiem, gdzie Angelus i jego wspólnicy na kieszeniach klientów, ludzi przeważnie ubogich, robili spekulacye i dorabiali się majątku. Nareszcie zeszłego roku władze wglądnęły w gospodarkę zakładu i przekonano się, że Angelus popełnił mnóstwo nadużyć, zakład więc zamknięto, a Angelusa, Limanowskiego i Brachównę uwięziono. Główny wspólnik Angelusa, Małkowski, zdołał na czas uciec za granicę. Śledztwo trwało przez cały rok. Sąd zbadał dokładnie, naturalnie o ile to było możliwem, całą gospodarkę Angelusa w jego zakładzie, wykrył mnóstwo nadużyć i oszustw, na podstawie których prokuratorya wygotowała olbrzymi akt oskarżenia. Proces odbywał się w zeszłym i bieżącym tygodniu.

Angelus oskarżony był głównie o to, że nie trzymał się regulaminu, lecz miał swój własny system, dążący do wyzyskiwania ogółu. Dalej Angelus dopuszczał się oszustw przy wykupnie i prolongatach papierów państwowych, gdzie, o ile sąd zbadał, było 9000 poszkodowanych, sprzedawał niewykupione zastawy na licytacyi, ale nadwyżki nie zwracał zastawiającym, wartościowe przedmioty zupełnie z licytacyi usuwał i sprzedawał je na własną rękę, krzywdząc w ten sposób zastawiających. Brachówna była oskarżona o współdziałanie w oszukańczych manipulacyach Angelusa, tak samo jak i Limanowski.

Rozprawie przewodniczył radca sądu krajowego p. Raczyński, w asystencyi radców pp. Traunfellnera, Ferensa, Krausa i protokolanta dra Gabryela. Oskarżał prokurator dr. Jan Tokarz. Angelusa i Brachównę bronił dr. Goldhammer z Tarnowa, Limanowskiego dr. Włodzimierz Lewicki. Do rozprawy powołano 92 świadków, których przesłuchiwanie zakończono we wtorek.

Tytułowa illustracya, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia salę sądową podczas rozprawy. Oskarżeni siedzą razem na ławie, za nimi obrońcy i prokurator, na przedzie trybunał. Na pierwszym planie przesłuchiwany świadek.

Wystawa przemysłowa w Tarnowie.

W ostatnich dniach września otwarto wystawę przemysłową w Tarnowie. Wystawa ta, dzięki doskonałej organizacyi komitetu wystawowego, przedstawia się okazale i daje obraz naszego przemysłu na szeroką skalę. Obejmuje ona ogród przed gmachem Sokoła, wypełnia szczelnie wszystkie sale budynku sokolego, nadto rozpościera się na boisku sokolem i w ogrodzie internatu św. Józefa, przedstawiając już z daleka bardzo piękny widok. Zaraz przy wejściu w ogrodzie wzraca uwagę wystawa narzędzi rolniczych H. Cegielskiego z Poznania. Korytarze i sienie sokolni zajmuje głównie drobny przemysł. Główną salę na pierwszem piętrze zajęła tarnowska szkoła ogrodnicza. Dobór przedmiotów, bardzo inteligentny, daje dobre świadectwo tej tak pożytecznej szkole i jej kierownikom. Są tam prześliczne okazy owoców, jarzyn i ich przeroby, przyrządy do wyrobu wina owocowego, do suszenia jarzyn i owoców. Przyrządy te i na wystawie służą do celów demonstracyjnych. Najgustowniej przybraną jest przyległa sala, zajęta przez dom handlowo-ogrodniczy „Flora“. Jedną ścianę zdobi skała upstrzona żywemi kwiatami, obok sztuczna grota mieści wina owocowe, środek sali zajmuje przepyszny klomb. Galeryę pierwszego piętra obejmuje wystawa przemysłu mleczarskiego oraz wyroby stolarstwa artystycznego. Najwięcej okazów objęła wielka sala parterowa. Jest tam wystawa ruchoma „Ligi przemysłowej“ ze Lwowa, produkta górnicze z kopalni węgla A. hr. Potockiego, wystawa konfekcyi męskiej i damskiej, obuwia, biżuteryi, wyroby bronzownicze, blacharskie, introligatorskie i mnóstwo innych.

Na boisku Sokoła znajduje się przepysznie urządzony przez tarnowską szkołę ogrodniczą ogródek francuski z drzewami owocowemi. Lewą stronę boiska zajmuje wystawa trzody chlewnej p. Szaszkiewicza z Rzemienia. Wspomnieć jeszcze należy o wystawie maszyn rolniczych Braci Bartik z Tarnowa.

Nie możemy się rozpisywać szczegółowo o całej wystawie; przytoczony jednak wyżej ogólnie naszkicowany opis, może dać choć w części obraz wystawy, która, jednem słowem, przedstawia się okazale.

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze kilka zdjęć fotograficznych z tej wystawy.



Wystawa przemysłowa w Tarnowie: Grupa wystawców. Fot. E. Mroczkowski. Tarnów.



Nowy teatr w Czerniowcach: Dyrektor teatru Ranzenhofer.



Nowy teatr w Czerniowcach: Ogólny widok nowego gmachu teatralnego.

Nowy teatr w Czerniowcach.

Na jednej z najpiękniejszych ulic Czerniowiec wznosi się okazały gmach nowego teatru, dzieło pierwszorzędnej wagi i doniosłości dla kulturalnego rozwoju i rozkwitu miasta.

Gmach nowego teatru, wykonany w stylu odrodzenia według planów znanych architektów st. radców we Wiedniu Felnera & Helmera, przedstawia się okazale. Architektura budynku nie jest zbytkowna, ale gustowna, w stylu utrzymana i celowi swojemu odpowiadająca.

Uroczystość ukończenia budowy odbyła się dnia 3-go października o godzinie 11-tej przed południem. Już o godzinie wpół do 11-tej przepołudniem panie i panowie w uroczystych strojach zajęli loże i miejsca parterowe w teatrze, by wziąć udział w tej pięknej uroczystości.

Na wspaniale udekorowanej scenie nowego teatru, zebrali się serdecznie powitani przez burmistrza miasta dr. Reissa, tegoż zastępcę br. Fürtha i całą radę miejską, reprezentanci władz rządowych i autonomicznych z prezydentem kraju dr. Bleylebenem i marszałkiem kraju br. Wassilką na czele, wyżsi dygnitarze wojskowi, przedstawiciele prasy, dyrektor teatru Ranzenhofer z całym personalem teatralnym, st. radca budownictwa Fellner i inni.

Po odegraniu uroczystej uwertury przez muzykę wojskową pod batutą kapelmistrza 41 pułku p. Kosteleckiego, przemówił imieniem miasta burmistrz dr. Reiss, w zastępstwie rządu dr. Bleyleben, jako prowadzący budowę starszy radca budownictwa Fellner, a w końcu dyrektor teatru Ranzenhofer, podnosząc w pięknych słowach znaczenie uroczystej chwili.

Publiczność w świątecznych strojach zajęła miejsca, a gdy kurtyna żelazna poszła w górę, zapanowała cisza, poczem orkiestra zaintonowała uwerturę Beethowena „Poświęcenie domu“. Przedstawienie rozpoczęło się prologiem „Zwycięstwo muz“ pióra znanego publicysty i poety dr. Norsta, który poza twórczością osobistą tłómaczy wiele rzeczy z języka polskiego na niemiecki.

Zebrani widzowie nie szczędzili dowodów uznania — zarówno dla znakomitego poety, jak i niezrównanych interpretatorów jego.

Burze oklasków były nagrodą zasłużoną dla artystów, a wieńce laurowe dla autora. (Stb.)



Fałszerze pieniędzy: Poszukiwany przez władze główny ajent Schapiry Abraham Fisch. (Treść na str. 13).



Fot. E. Mroczkowski. Tarnów.

Wystawa przemysłowa w Tarnowie: Widok wystawy w ogrodzie przed gmachem Sokoła.



Nowy teatr w Czerniowcach: Dr. Antoni Norst autor prologu.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

20 (Ciąg dalszy).

— Byłaby poszła, ale ja sama nie chciałam, nie miałam ochoty.

— A to mi się podoba! — śmiała się — kiedyż zechcesz się bawić, jeśli nie teraz? Masz lat... zaraz...

— Dziewiętnaście, ciociu.

— A tak... za kilka dni kończysz, to sam czas na zabawy, bale, na zawracanie chłopcom głowy. Jeszcze teraz żałuję, że tak wcześnie poszłam za mąż... Otóż i nasze mieszkanie.

A gdy wysiadły i szły na pierwsze piętro, mówiła:

— Piotr obiecał przyjść na kolacyę, ale nie bierz mu za złe, że nie był na dworcu i może nie będzie na kolacyi... on taki zajęty...

— Ależ ciociu, mam przecież papę — zaśmiała się — i wiem, jak im trudno nagiąć się do form towarzyskich.

— Prawda, że i twój papa unika wieczorów w domu. Pisał mi, że karnawał w Petersburgu zapowiada się hucznie, bo to i zwycięstwo nad Japończykami bliskie i... otworzą się wakanse.

Zanim zdążyła przycisnąć guzik dzwonka elektrycznego, już otworzyły się drzwi i zgrabna, dosyć ładna pokojówka, pomogła paniom zdjąć futra.

— Zaprowadzę cię do twego pokoju — nacisnęła lewe drzwi z przedpokoju i odsuwając portyerę, weszła pierwsza, za nią Olga.

W ładnym, dość wielkim pokoju, paliła się lampa na biurku filigranowem, a na owalnym stoliku przed kozetką, stał wielki bukiet z żywych kwiatów.

— Piotr jednak pamiętał o tobie, ten bukiet od niego... Jakże ci się podoba twój pokój? — obie usiadły na fotelikach.

— Bardzo ładny, ciociu — rozglądała się.

— Umyślnie dobrałam ciemno-niebieskie meble i portyery, bo przypuszczam, że jako blondynka, lubisz ten kolor.

— Ciocia jest bardzo dobra i uważna — spojrzała z uśmiechem przyjaźni na ciotkę.

— Zapewne zauważyłaś brak umywalki, ale nie było gdzie postawić, a u nas jest zwyczaj myć się w łazience, tam masz twoją osobną umywalnię. I to łóżko jest tylko na noc zasłane, na dzień pościel wynoszą, a łóżko tworzy kanapkę.

— Ciocia psuje mnie swoją dobrocią.

— Zastępuję ci przecie matkę.

— Trochę za młoda ciocia — uśmiechnęła się.

— Nie pochlebiaj mi — zaśmiała się zadowolona — dałam ci takie łóżko, bo zapewne będziesz chciała przyjąć kogoś u siebie, a młodzież nie zawsze lubi salon, woli zaciszny pokoik.

— Ciocia o wszystkiem pamięta... nawet o możliwych gościach, a będę ich miała, bo razem ze mną przyjechała tu moja koleżanka i jeden kolega.

— A ich nazwiska?

— Helena Borwiczówna i Żalecki.

— Borwicz, to coś brzmi z litewska... a Żalecki... no tak, zwykłe, szlacheckie. Jacyż są oni? Dobrze wychowani?

— Znam ich głównie z wykładów i mnie są oboje przyjemni, zwłaszcza Helena. Ciocia pozwoli, że do mnie będą przychodzili.

— Ależ Oleczko, nie myślę krępować cię w niczem, jesteś panią u siebie; jedynie prosiłabym cię, abyś godzin obiadowych pilnowała, a przynajmniej uprzedzała, że nie będziesz, a śniadanie i kolacyę, gdy zechcesz, zjesz u siebie. Ja nie jestem zwolenniczką pilnowania i krępowania panien, my kobiety mamy te same prawa do zabawy i swobody, co mężczyźni.

— Co do mnie — zaśmiała się Olga — zachwycona jestem zasadą cioci... a cóż na nią mówi wuj Piotr?

— Najpierw nie pytam go o to, a następnie on kształcił się w Petersburgu, w Moskwie, żył z ruskimi, bo przecież wiesz, że on z przekonania katolik i Polak, ale ojciec, czy dziad był unitą i on formalnie należy do prawosławia.

— Tak... teraz sobie przypominam, coś mi mówił papa o tem.

Lokaj wniósł kuferki i inne rzeczy podróżne.

— Zawołaj Sabinkę — rozkazała pani — i podawaj kolacyę.

Gdy młodsza przyszła, wstały panie:

— Olgo, daj jej klucze, ona ułoży ci rzeczy.

— Wolałabym ciociu w mojej obecności.

— To zbyteczne, bo ona zręczna... ale jeśli chcesz, to dobrze.

W czasie kolacyi zjawił się pan Sudkiewicz. Był to dość wysoki, przystojny, ciemny blondyn, z dobrotliwym, słodkim wyrazem twarzy, ubrany z elegancyą, trochę zbyt rzucającą się w oczy, a uścisnąwszy ręce pań, siadł przy stole i przygładzając ładnie utrzymane, siwiejące faworyty, rzekł z uśmiechem przyjemnym:

— Jakąż podróż mieliście, Olgo Aleksandrowiczówno?

Olga zdziwiona spojrzała na ciotkę, która domyśliwszy się:

— Pierre, cóż to za sposób nazywania? Dlaczego nie wprost, Olgo?

— To tak z przyzwyczajenia Reno, zawsze w tem biurze — westchnął — dobrą, a raczej przyjemną miałaś podróż?

— Bardzo miłą.

— I wyobraź sobie, Pierre, że jechała do samej Warszawy trzecią klasą.

— Gotów jestem ryzykować się na trzecią klasę — uśmiechnął się — jeśli wyglądałbym po podróży tak pięknie i świeżo, jak Olga.

— Nic ci nie pomoże, ani trzecia ani czwarta klasa — śmiała się pani — to młodość!

— Prawda... Reno, miały być kotlety baranie, sos soubise, a widzę polędwicę — patrzał z namysłem na półmisek, trzymany przez lokaja.

— Maryanna nie mogła dostać.

— Co to nie można — nabierając polędwicę — zawsze można, gdy się chce.

— No, nie zawsze — mówiła, patrząc na niego — czego się tobie nie zachciewa...

— Czego? Mów!

— Chcesz, dajmy na to Petersburga, a siedzisz w Warszawie.

— Tak, prawdę powiedziałaś... Ot, wasz ojciec, Olgo, szczęśliwy człowiek.

— Czy dlatego, że wdowiec? — spytała żona z ironią.

— Nie w tem rzecz, ale Petersburg, inny świat, inna zabawa, inne stosunki.

— A wiesz, Pierre, Olga nie tańczyła w tym karnawale. Słyszysz?

— Trzeba Reno, złe naprawić... u Martynowych bal za cztery dni.. pójdziemy?

— U Martynowych? — skrzywiła się trochę — tam bywają różni, nie same tylko dobrane towarzystwo.

— Ale cóż znowu? Nie zniechęcaj Olgi, już ci zaręczam, że będą gwardyjce i ułani.

— Wierzę, ale i piechoty nie zabraknie — uśmiechnęła się drwiąco — bo pani Martynów nie jest wybredna.

— Trudno kochana, nie każdego stać na wystawne przyjęcie, ale oni dobrzy ludzie.

— Kto jest pan Martynów? — spytała Olga.

— Naczelnik wydziału w kancelaryi gubernatora. Dobra posada i dochód jest, ale i on dobra głowa — chwalił Sudkiewicz.

— Zresztą pójdę — zdecydowała się pani — każę cokolwiek zmienić ubranie tej sukni... wiesz Pierre, tej różowej, co ją miałam u generała Szyłkina...

— Pamiętam — odpowiedział obojętnie, zajadając ciastka, podane na de er.

— Chyba wystarczy dla Martynowów, jak myślisz, Pierre?

— Naturalnie, będziesz brylowała.

— Dam chyba inną gazę przy staniku... A ty, Olgo, masz suknię?

— Wolałabym, ciociu, nie iść.

— O, na to nie pozwolę! Chcę się pochwalić tobą! Zrobiłabyś mi wielką przykrość a chyba na to nie zasłużyłam.

Olga wspomniała, że ciotka była na dworcu, pamiętała o jej pokoju, wygodach i czuła się w obowiązku uledz jej.

— Poszłabym, ciociu, ale nie wiem, czy moja suknia będzie dobra?

— A jaką masz?

— Fularowa, *vert de mer*.

— Pyszna będzie — uśmiechnęła się — moja krawcowa odświeży ją i naradzimy się, jak ją ubrać. A więc idziemy Pierre; pamiętaj w środę, nie zabałamuć się, razem pojedziemy.

— Dobrze, moja duszko.

Jeszcze dość długo trwała rozmowa o znajomych, o tych i owych przygodach, które się świeżo przytrafiły w ich sferze.

Olga, odzwyczajona przez czas pobytu u stryjostwa od plotek, podejrzeń, złośliwych domyślników, słuchała ich na razie dość chętnie, ale wreszcie opadła ją nuda i czczość. Pomyślała też z wewnętrznem zadowoleniem, że socyaliści mają słuszność, lekceważąc i wyklinając filistrów i burżujów, bo przecież ci ludzie, spojrzała na Sudkiewiczów, zajmują się i myślą jedynie o swych przyjemnościach i zabawach, tracą pieniądze, wydarte

biednym robotnikom pod różnymi pozorami podatków pośrednich i bezpośrednich. A takich, jak jej wujostwo, są setki, tysiące nawet, cała zgraja wyzyskiwaczów. I taki wstręt poczuła do ludzi tej sfery, że, wymawiając się zmęczeniem i podróżą, przeszła do swego pokoju.

Nazajutrz rano, jak to było umówione, poszła Olga do hotelu „Victoria“.

Przechodząc Placem Zielonym zobaczyła stojący tam pomnik poległych w obronie rządu carskiego. Gdy wybuchnie nasza rewolucya, pomyślała, zburzymy ten pomnik despotyzmu, a wzniesiemy kolumnę z czerwonym sztandarem.

Zastała Helenę w małym, bardzo skromnym pokoiku. Po przywitaniu mówiła Helena:

— Obeszłam dziś część Warszawy, ale to prawdziwe miasto i wiesz, czuję się jakoś nieswojsko... Za dużo tu ludzi bogatych, powozów, koni, ruchu... jakiś inny świat, bardzo różny od tego, z którym się zżyłam.

— Przyzwyczaisz się... a gdzie byłaś?

— Albo ja wiem? — zaśmiała się — szłam ulicami, gdzie mnie oczy wiodły, a gdy się zmęczyłam, spytałam o Plac Zielony i znów szłam.

— No, a ludzie, jakie wrażenie?

— Tłumy.. gwarne, spieszące się, ale są grzeczni, uprzejmi, no i kobiety strojne, za strojne. Wyglądałam jak kopciuszek, chociaż miałam na sobie moją najlepszą suknię, wiesz, czarną.

— Wiem... a kolegi nie widziałaś?

— Owszem, pukał rano do drzwi, ale byłam jeszcze nieubrana. Mówił, że idzie na Leszno... do znajomych.

— A, już wiem. Nie mówił, kiedy wróci?

— Coś bąkał pod drzwiami, ale pójdę i zobaczę, może przyszedł.

Olga po jej wyjściu rozejrzała się po wąskim, dosyć niskim i bardzo skromnie umeblowanym pokoiku. Porównywała go ze swojem eleganckiem mieszkaniem, tak stosunkowo wytwornie wyglądającem. Na razie uczuła pewne zadowolenie i coś nakształt dumy, że posiada inny pokój, lecz w tej chwili zawstydziła się swoich niskich, egoistycznych myśli. Ona, która walczy o równość i szczęście biednych robotników, znajduje przyjemność w korzystaniu wygód, opłacanych właśnie przez tych samych biedaków. Porzucić ciotki nie może, tam wiąże ją służba sprawy, ale jaki wstyd, że w pierwszej chwili poczuła jakąś głupią dumę. O, nie jest ona jeszcze na wskróś socyalistką, daleko jej do tego i co powiedziałby Żalecki o niej, gdyby znał jej myśli, on, który tak wysoko ceni jej etykę.

Weszła Helena razem ze Żaleckim, mówiąc:

— Spotkałam kolegę na schodach, dopiero wrócił...

— Dzień dobry koleżance — uścisnął serdecznie rękę Olgi — spieszyłem jak lokomotywa, aby was zastać. Pozwolicie, że usiądę na łóżku — jedyne bowiem dwa krzesła zajęły panny — ale jestem zmachany, jak koń wyścigowy.

— Przyszłam przed chwilą i niepotrzebnie spieszyliście się, byłabym zaczekała na was — rzekła Olga.

— No, już trochę wydychałem się, a teraz powiedzcie nam, jak się czujecie? co porabiacie? jak was umieszczono? — pytał, stosownie do rozmowy w wagonie, podczas ich podróży.

— Jeśli idzie o wygodę, mam pokój z oddzielnem wejściem z przedpokoju i ciotka nie myśli mnie krępować pod wielu względami, ale pod jednym względem będę musiała jej ulegać, przynajmniej do pewnego stopnia, a mianowicie muszę jej towarzyszyć na zabawy i t. d.

— Tak dalece nie będzie wam to dokuczało — zauważył Żalecki.

— Gdybym w głowie miała tańce, teatra, koncerty, to mielibyście słuszność, ale wy wiecie, że tak nie jest.

— Nie rozumiecie się na tem — wmieszała się Helena — to dla nas pańszczyzna.

— Ale jakoś ochotnie odbywaliście ją w Łodzi, jak mi mówiono.

— To co innego, to z własnej ochoty a nie z obowiązku — broniła się Helena.

— Cóż więcej, koleżanko Wojtyrska?

— I to jest nieprzyjemne, ale to już bardzo, że prawie sami Moskale bywają, bo on jako pochodzący z unitów, jest prawosławny.

— A, to niemiła rzecz! — zawołała Helena — zawsze spotykać tych wrogów, wyzyskiwaczy, naszych katów, to bardzo przykre.

— Koleżanki! a właściwie koleżanko Wojtyrska, nie przyjechaliście tutaj dla przyjemności i na przyjemności, ale aby pracować i sami wiecie, w jakim kierunku... Tem lepiej dla sprawy, że jesteście w moskiewskiem towarzystwie, musicie się zaprzyjaźnić nawet, a w każdym razie być bliżej z osobami wpływowemi. Przypuszczam i wierzę, że to ciężka i przykra służba, ale konieczna.

— Biedna Olgo, jak ja współczuję z tobą, o, wolę moją pracę — mówiła Helena.

— A jakżeż wy pracujecie? — zaśmiał się Żalecki.

— A wy jak? I co za przyjemność dokuczać mi! — uśmiechnęła się Helena.

— Sztuka dla sztuki, koleżanko!

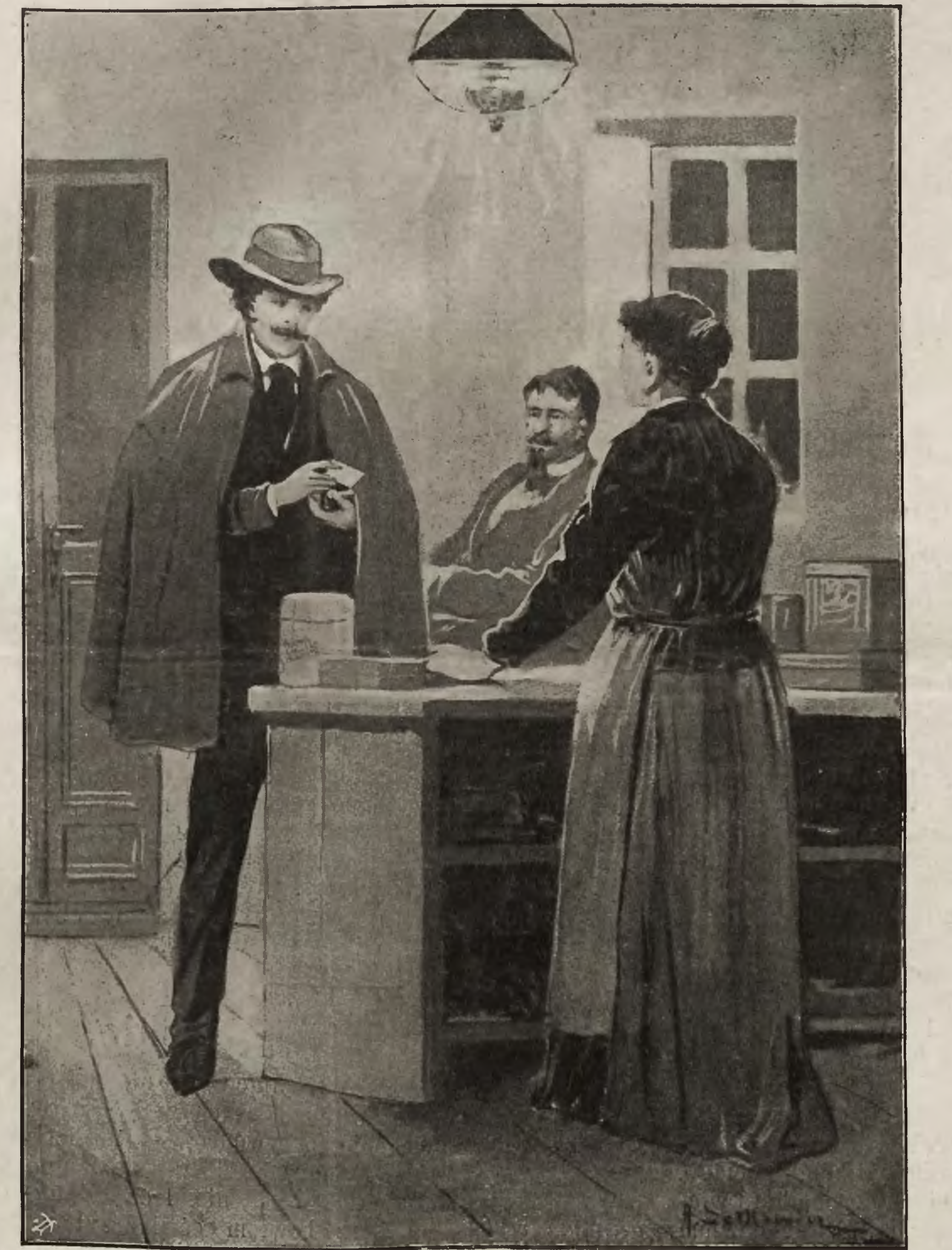
— Marna ta wasza sztuka!

— Jak z wami przyjemnie — uśmiechnęła się Olga — tu inna atmosfera, a tam taka ciężka, taka banalna.

— Tem większa wasza zasługa, jeśli wytrwacie, koleżanko, zresztą do wszystkiego można się przyzwyczaić. Walczak pijał gorącą wodę zamiast herbaty na śniadanie i mówił, że mu smakuje.

— Gorąca woda z cukrem i bułką, to ujdzie — powiedziała Olga.

— Może dodacie ze śmietanką i marcypanem —



Doszedł do sklepiku, otworzył drzwi, oszklone małemi szybami i zajrzał.

zaśmiał się — jesteście jak ta księżniczka francuska, która, widząc lud wołający o chleb, była wielce zdziwiona, gdyż jej wystarczały dwa biszkopty na śniadanie... Walczak pijał czystą, gorącą wodę, aby się trochę rozgrzać... Ale wracając do rzeczy...

— Czystą wodę — dziwiła się Helena — i długo tak pił?

— To zależało od stopnia gorąca wody; czasem dłużej, czasem krócej.

— Ależ nie o to idzie — mówiła z grymasem niechęci — lecz czy przez dłuższy czas używał takich śniadań? Zresztą to źle świadczy o was, że żartujecie sobie z cudzej biedy.

— Nie z niej żartuję, ale z waszych dziecinnych pytań. Przez jaki czas używał na gorącej wodzie, nie wiem, przypuszczam, że do czasu otrzymania gotówki za lekcye.

— Widzicie, kolego, on miał czas określony, a tymczasem ja nic nie wiem...

— Cierpliwości, koleżanko, niech tylko raz zapłacze się Rosya we wielką wojnę, nie wybrnie z niej, sama jej wielkość spęta ją. A wówczas przyjdzie godzina obrachunku.

— Ale czy przyjdzie?

— Ja nie umiem wam tego wytłómaczyć, wyjaśnić, ale czuję, ale widzę, że krew niewinnych, przelana przez nią, że te szubienice, katorgi, męki otoczyły całą Rosyę jakąś krwawą, duszną, ciężką atmosferą, że ona się dusi, kona, drga w śmiertelnych skurczach i wkrótce skona ten despotyzm... Dlaczegóż my i inni nie byliśmy tu przed rokiem? przed dwoma? A teraz zlecieliśmy się jak kruki na żer, bo w powietrzu czuć padlinę caryzmu.. I z naszych rąk, z szeregów socyalizmu padnie pierwszy piorun i cały lud pójdzie z nami ku wiośnie, ku życiu!

— Ach, gdyby wasze słowa się sprawdziły!... ale wy nie znacie jej potęgi! jej zasobów! — zawołała Olga.

— Ale i najpotężniejszy budynek runie, gdy chwieją się podstawy, a my wzruszymy te podstawy... tylko pracy i wytrwałości.

— Czegóż dowiedzieliście się na Lesznie? — spytała po chwili.

— Dopiero około trzeciej dowiem się, gdzie go spotkam.

— Czy dacie mi znać o rezultacie?

— O ile będę mógł... ale gdzie się spotkamy?

— Jak długo będziecie tutaj, przyjdę sama, u portyera zostawcie wiadomość, o której was zastanę... a następnie albo u mnie, albo w umówionem miejscu.

Zaczęto rozmawiać o wspomnieniach uniwersyteckich, o kolegach i koleżankach i czas szybko mijał.

Żalecki spojrzał na zegarek i rzekł:

— Już druga, pójdę co zjeść i idę... A wy, koleżanko Borwicz, nie pójdziecie ze mną do restauracyi?

— Nie, już jadłam.

— Więc odprowadź mnie — prosiła Olga — dowiesz się, gdzie mieszkam i zajdziesz do mnie na chwilę.

— Pójdę; i tak nie mam co robić.

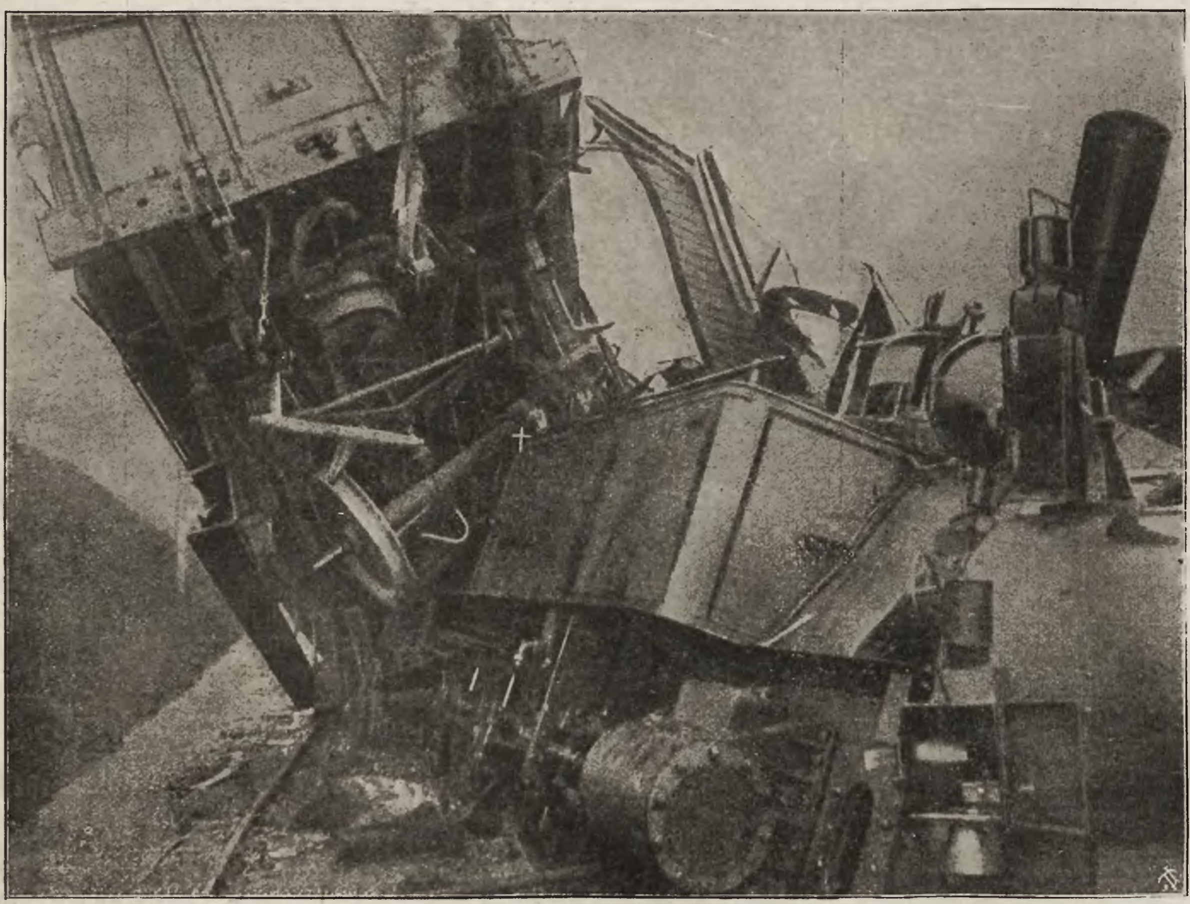
W sklepiku powiedziano Żaleckiemu, że pan Kubalski będzie o piątej godzinie i tu może go spotkać.

Już szarzało i dzień łamał się z nocą; w zaułkach i kątach kładły się grube cienie. W powietrzu dusznem i mglistem, które zdawało się opadać ciężko na domy i ulice, poczęły przebłyskiwać żółtawe płomienie palących się po sklepikach lamp naftowych; turkot dorożek, gwar ludzkich głosów, tracił na wyraźnych dźwiękach i zlewał się w jakiś chaotyczny szum, z którego od czasu do czasu wyrywał się jakiś przenikliwy głos, to dalej, to bliżej, jak gdyby okrzyk boleści lub bezsilnego gniewu.

Żaleckiego opanował dziwny smutek i poczucie bezsilności wobec tego miasta tak ludnego, bogatego, złożonego z tak bardzo różnorodnych żywiołów. Czy nie jest to bezcelowe i naiwne pokuszenie, że oni potrafią poruszyć, zelektryzować to miasto, zmienić nietylko porządek rządowy, ale i ustrój społeczny? To utopia, to błędny ognik, który ich mami, łudzi, zwodzi, udając słońce i poprowadzi do niechybnej, a bezcelowej śmierci i wyczerpania.

Idąc chodnikiem, patrzał na ludzi, z których każdy, jeśli nie w oczach i rysach twarzy, to w ubraniu i ruchach miał zaznaczoną swą odrębność, szedł swoją drogą, miał swój cel i środki zdobycia go. I w jaki sposób te jednostki, obce dla siebie, często wrogie, tak rozproszone, ustawić w jeden szereg, natchnąć jedną myślą, jednem uczuciem i poprowadzić na dane hasło do boju?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Katastrofa kolejowa pod Novimarov w Kroacyi: Widok wagonu, który najechał na lokomotywę.

Katastrofa kolejowa pod Novimarov w Kroacyi.

Ulepszone środki komunikacyi, jakiemi się szczyci dzisiejszy wiek, przedstawiają jednak dla podróżnych niemałe niebezpieczeństwo. Nie mówiąc już o okrętach, które na bezbrzeżnej toni oceanu wydają się jak małe łupiny orzecha, zdane na wolę wichrów i fal, nawet i koleje żelazne na pozór bardziej bezpieczne, nie są jeszcze dzisiaj do tego stopnia udoskonalone, by uchylały wszelką możność niebezpieczeństwa, wystarczy bowiem drobnostka, aby sprowadzić katastrofę kolejową. Fałszywe nastawienie zwrotnicy, podmycie toru przez wezbrane wody podczas ulewy, podmycie mostów na torze, staje się bardzo często powodem nieszczęścia, w którem nie brak zazwyczaj i ofiar w ludziach.

Taka katastrofa kolejowa miała miejsce w ubiegłym tygodniu pod Novimarov, na linii Zagrzeb-Csaktornya w Kroacyi. Wskutek długotrwałej ulewy, tor kolejowy rozmiękł tak dalece, że pociągi mogły po nim przechodzić jedynie bardzo powoli. Tak też szedł pociąg nr. 6042, który wyjechał ze stacyi Czaktornya do Agram. Miał on dwie lokomotywy. Dojeżdżając do stacyi Novimarov, na krzywiźnie obaj maszyniści przyspieszyli biegu pociągu, aby krzywiznę jak najprędzej przebyć, ale to właśnie stało się powodem katastrofy. Szyny bowiem się rozluźniły, lokomotywy obydwie wyszły ze szyn i stanęły na poprzek toru. Pierwszy wagon za lokomotywami wykoleił się na prawo, drugi na lewo, trzeci zaś, wagon pocztowy, wpadł na drugą lokomotywę i zdruzgotał ją. Palacz i maszynista pierwszej lokomotywy wyskoczyli na czas i odnieśli tylko lżejsze obrażenia, tak samo, jak kilku pasażerów. Maszynista zaś drugiej lokomotywy, obawiając się eksplozyi, chciał wypuścić parę i zatrzymał się. To było dlań nieszczęściem; maszyna bowiem została zdruzgotana, a on życie postradał. Rannych przewieziono do szpitala w Zagrzebiu.

Wskutek tego, że tor zawalony był wykolejonymi wagonami, musiano wstrzymać na całej tej linii ruch pociągów towarowych; pociągi osobowe kursowały dalej, gdyż władze zarządziły przesiadanie na miejscu katastrofy.

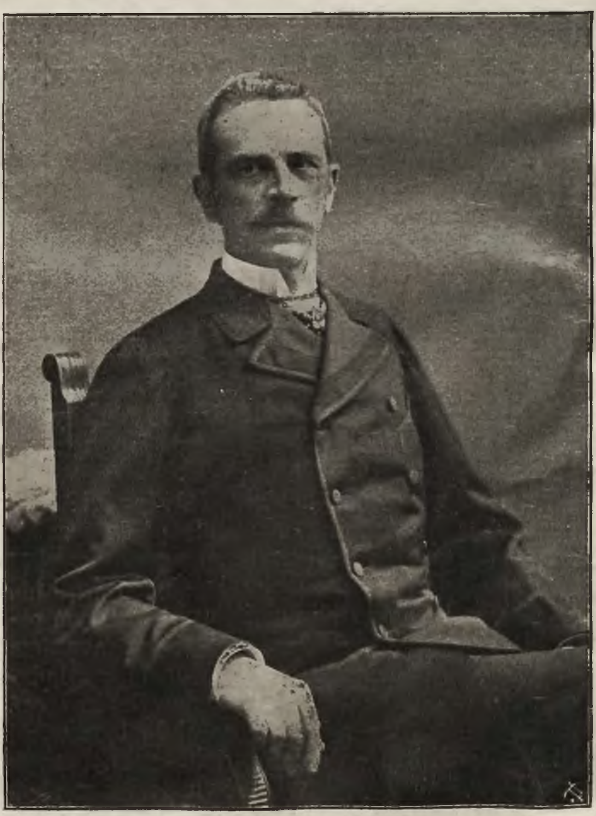
W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok dwa zdjęcia, przedstawiające katastrofę.

Przesilenie węgierskie.

Od roku już przeszło trwające przesilenie węgierskie, weszło w ostatnich czasach w nową fazę. Cesarz powołał do siebie przywódców stronnictw opozycyjnych, ale nie w celu naradzenia się z nimi nad sposobem zażegnania przesilenia, lecz *od audiendum verbum*. Cesarz bowiem oświadczył im stanowczo, że nie odstąpi ani na krok ze swego stanowiska. Historyczna ta, pięciominutowa konferencya przywódców opozycyi z monarchą, wywarła wszędzie olbrzymie wrażenie. Opozycya zrozumiała, że cesarz nie zaniechał ostatecznie projektu reformy wyborczej na Węgrzech, czego ona sobie zupełnie nie życzy. Cesarz wyznaczył więc na pośrednika do rokowań z koalicyą hr. Cziraky'ego.

Hr. Cziraky, obecnie marszałek dworu, urodził się w roku 1852. Jest on potomkiem jednej z najstarszych rodzin węgierskich i kawalerem złotego runa. Klerykał z przekonania, jest jednak zwolennikiem hr. Tiszy i już z tej przyczyny nie jest przez koalicyę mile widziany. Rokowania jego z koalicyą nie przyniosły rezultatu i spełzły na niczem. Przywódcy opozycyi odrzucili stanowczo warunki cesarza.

Monarcha postanowił tedy zaakceptować program Fejervary'ego, tyczący zmiany ordynacyi wyborczej na Węgrzech, wiedząc o tem, że prawo powszechnego głosowania rozbije opozycyę, która z powszechnych wyborów z pewnością wyjdzie w mniejszości. Powołał więc do siebie bar. Fejervary'ego, który prawdopodobnie otrzyma napowrót prezydenturę gabinetu i na pierwszem posiedzeniu sejmu



Przesilenie węgierskie: Hr. Albin Csaky, prezydent węgierskiej Izby magnatów, były minister rolnictwa.



Przesilenie węgierskie: Marszałek dworu hr. Csiraky.



Katastrofa kolejowa pod Novimarov w Kroacyi: Ogólny widok pociągu po katastrofie.

przedłoży projekt reformy wyborczej. Dla naradzenia się jednak nad tą reformą, powołał monarcha również i prezydenta węgierskiej Izby magnatów, hr. Czaky'ego.

Hr. Czaky, jest jednym z najbardziej wytrawnych polityków i doskonałym znawcą stosunków węgierskich. Ci co go znają, twierdzą, że jest on stanowczo zwolennikiem powszechnego prawa głosowania, gdyż widzi bardzo dobrze, że jest to jedyny sposób zażegnania przesilenia, które się całej monarchii dotkliwie daje odczuć.

Stanie się więc prawdopodobnie, rzecz w dziejach niesłychana, że Korona w obronie swych praw zapeluje do szerokich mas ludu, przeciw rządzącej partyi magnatów. I to będzie najważniejszym owocem węgierskiego przesilenia.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze fotografię hr. Czaky'ego i hr. Ciraky'ego.

Sokół w Winnikach koło Lwowa.

Idea sokola, streszczająca się w słowach „ćwiczeniem ciała ćwiczyć ducha“ stosownie do maksymy, że „wolnem ciele, silny duch“, znalazła widocznie wśród naszego społeczeństwa żywy oddźwięk. Dzisiaj bowiem niema w Galicyi prawie miasteczka, gdzieby nie istniało towarzystwo Sokół, skupiające w swoich szeregach młodzież i starszych, a nawet w ostatnich czasach coraz częściej słychać o zawiązywaniu się Sokoła wśród ludu polskiego po wsiach. Gniazda sokole powstają jedno za drugiem, z każdym miesiącem przybywa ich coraz więcej.

W ubiegłym roku zawiązał się Sokół także w Winnkach pod Lwowem. Dzięki energii prezesa i druchów, Sokół winnicki rozwijał się coraz bardziej, tak że dzisiaj już tworzy silną falangę w szeregach sokolich. W krótkim stosunkowo czasie, bo zaledwie rok minął od założenia go, Sokół w Winnikach stał się najbardziej ruchliwem towarzystwem, dzierżącem w swych rękach ster życia towarzyskiego w tem mieście.

Fotografia, jaką zamieszczamy w dzisiejszym numerze, przedstawia pierwsze zebranie umundurowanych członków Sokoła w Winnikach.



Fot. am. Chr. Rollauer. Winniki.
Sokół w Winnikach koło Lwowa: Pierwsza grupa umundurowanych sokołów w Winnikach.

Lwowski chór akademicki na Węgrzech.

Sympatyczne towarzystwo śpiewackie, lwowski chór akademicki, urządził w ubiegłym miesiącu artystyczną wycieczkę na Węgry, a wycieczka ta dała uprzejmym i gościnnym Węgrom sposobność do urządzenia gorącej i serdecznej owacyi na rzecz naszej drużyny śpiewaczej.

Już w Budapeszcie przyjęto chór lwowski bardzo serdecznie, a udział w powitaniu wzięła nietylko kolonia polska w Budapeszcie z adw. Barańkim na czele, lecz bardzo liczne grono węgierskiej



1. Poseł dr. Ernö Kovats. 2. Dr. Zdzisław Szczepański, dyrygent chóru. 3. Michał Ross, prezes chóru.
Lwowski chór akademicki na Węgrzech: Lwowski chór akademicki w Debreczynie, otoczony miejscową publicznością.



Sejm galicyjski: Metropolita lwowski obrządku greck.-kat. ks. arcybiskup hr. Szeptycki.

młodzieży akademickiej. Po powitalnych przemówieniach podążono w pochodzie do miasta, ze sztandarem stow. Polaków na czele. Koncert chóru odbył się w sali hotelu Royal. Przybył nań poseł Kossuth w towarzystwie kilku posłów węgierskich. Produkcye chóru akademickiego wypadły bardzo pięknie i zdobyły ogólny poklask. Program ułożony był z utworów wyłącznie polskich, jedynie na wstępie odśpiewano hymn narodowy węgierski. Po koncercie odbył się wspaniały bankiet, na którym wygłoszono szereg przemówień, między innymi przemawiał poseł Khun.

Bez porównania wspanialej wypadło przyjęcie chóru lwowskiego w Debreczynie, mieście pod względem ilości mieszkańców odpowiadającem mniej więcej Krakowowi. Przyjazdu naszych śpiewaków oczekiwała tłumnie na dworcu zebrana publiczność, z muzyką i sztandarami, przybyły delegacye towarzystw śpiewackich i akademickich. Ulice miasta były pięknie i suto dekorowane a z okien rzucano na przechodzących w pochodzie gości bukieciki kwiatów. Wspaniale też wypadł koncert chóru w sali teatralnej. Rozpoczęli koncert śpiewacy węgierscy, odśpiewawszy chóralnie hymn „Boże coś Polskę“. W czasie koncertu panował ogromny entuzyazm wśród Węgrów, który podniósł się jeszcze w czasie komersu. I przez cały następny dzień gościli Węgrzy naszych śpiewaków bardzo serdecznie, a kulminacyjnym punktem był bankiet, dany przez miasto na cześć gości. Nic dziwnego też, że żal było naszym dziarskim chórzystom opuszczać gościnną ziemię węgierską.

Szczególnie serdecznie odnosił się do lwowskiego chóru poseł dr. Ernö Kováts, który włada wcale biegle językiem polskim i objął z ochotą rolę tłómacza. Poseł Kováts towarzyszył chórowi przez cały czas. Bardzo uprzejmym był też akademik Csopay Laszko, prezes jednego ze stow. akademickich w Debreczynie.

Rycina nasza przedstawia lwowski chór akademicki w Dobreczynie, otoczony przez miejscową publiczność.

Sejm galicyjski.

Po całorocznej przerwie zwołał rząd ponownie sejm galicyjski na sesyę jesienną, a pierwsze posiedzenie odbyło się w ubiegły wtorek.

Sejm galicyjski składa się — jak wiadomo — ze 161 członków, z których 12, t. j. czterej biskupi rzymsko katoliccy, trzej grecko-katoliccy, a jeden ormiańsko-katolicki, oraz czterej reprezentanci nauki, t. j. prezes akademii Umiejętności w Krakowie, rektorowie obu uniwersytetów i rektor politechniki lwowskiej, należy do sejmu bez wyboru, a z mocy swego stanowiska. Posłów z wyboru jest 149. Wybierani są z 4 kuryi, a mianowicie 74 posłów wybierają gminy wiejskie w 74 powiatach politycznych, 44 wybiera większa własność, 28 posłów wybierają miasta, 3 izby handlowe i przemysłowe.

Wybory odbywają się — z wyjątkiem kuryi gmin wiejskich — bezpośrednio; kurya gmin wiejskich zaś wybiera pośrednio, to znaczy, że każdy uprawniony do głosowania w tej kuryi oddaje swój głos na jednego, lub więcej wyborców, a akt ten nazywa się prawyborami, a dopiero ci wybierają posła.

Przeciwko pośrednim wyborom do sejmu protestują od lat szeregu wszystkie stronnictwa postępowe i demokratyczne, w każdej kadencyi pojawiają się wnioski o reformę i rozszerzenie prawa wyborczego — mimo to wszystko jednak, większość sejmowa, konserwatywna, nie dopuściła dotychczas do żadnej reformy w duchu postępowym i demokratycznym. Wobec tego stronnictwa demokratyczne: ludowcy, stojałowczycy, demokraci, starają się o pozyskanie jak najwyższej ilości mandatów dla siebie, a niedopuszczenie szlachty. Usiłowanie to jednak rzadko wieńczy pomyślny skutek, znane bowiem powszechnie „praktyki wyborcze“, wprowadzają zawsze jeszcze bardzo znaczną ilość posłów konserwatywnych. W obecnej kadencyi, na 74 posłów z gmin wiejskich, zasiada w sejmie 10 włościan, 5 księży proboszczów, 39 właścicieli większych posiadłości, 2 notaryuszy, 2 lekarzy, 3 dziennikarzy (p. Stapiński, ks. Stojałowski i ks. Szponder) 1 dyrektor tow. zaliczkowego, 1 sekretarz rady powiatowej, 7 adwokatów, 1 inżynier, 1 sędzia i 2 ministrów emerytów. Pod względem narodowości jest w tej kuryi 61 Polaków, a 13 Rusinów.



Sejm galicyjski: Marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni.

Miasta wybierają — jak wspomnieliśmy — 28 posłów, z tych Lwów 6, a Kraków 4. Ze Lwowa wyszli przy ostatnich wyborach: ś. p. Tadeusz Romanowicz, dr. Tadeusz Rutowski, ówczesny prezydent miasta dr. Małachowski, wiceprezydent dr. Michalski, minister dr. Piętak i włościanin Jakób Bojko. Po śmierci T. Romanowicza, mandat sejmowy dostał się posłowi dr. K. Głąbińskiemu. Kraków wybrał dwóch profesorów uniwersytetu dr. Leo i dr. Jaworskiego, dyrektora szkoły przemysłowej Rottera i kupca Federowicza.

Ogółem w sejmie galicyjskim zasiada 83 właścicieli dóbr, 18 adwokatów i notaryuszów, 12 profesorów uniwersytetu i gimnazyum, 11 włościan, 11 urzędników, 8 biskupów, 7 księży, 5 kupców i przemysłowców, 3 lekarzy, 1 aptekarz, 1 inżynier i 1 dziennikarz (nie licząc księży Stojałowskiego i Szpondra).

Ze względu więc na swój skład, zasługuje sejm galicyjski w całej pełni na nazwę „wielkiej rady powiatowej“.

* * *

W dzisiejszym numerze podajemy wizerunek gmachu sejmowego we Lwowie, oraz fotografie marszałka St. hr. Badeniego i wicemarszałka metropolity Andrzeja hr. Szeptyckiego.



Sejm galicyjski: Front gmachu sejmowego wraz z częścią ogrodu miejskiego.

Kurtyna w teatrze amatorskim w Wieliczce.

Ruchliwy teatr amatorski w Wieliczce przyozdobił w ubiegłym tygodniu swą scenę dziełem niepośledniej wartości artystycznej. Mówimy o nowej kurtynie. wykonanej przez artystę malarza Aleksandra Mroczkowskiego. Kurtyna ta, wykonana z prawdziwym artyzmem, nosi na sobie wszystkie cechy, charakteryzujące jej twórcę. Prawdziwie polska w pomyśle, zastosowana do historycznej przeszłości Wieliczki, będzie dla Wieliczan ozdobą, którą snadnie przed wszystkimi pochwalić się mogą.

Obraz, wymalowany na kurtynie, to utwór bogatej wyobraźni p. Mroczkowskiego. Przypatrzmy mu się.

W salinach, w tych głębiach podziemnych, ręką ludzką wykutych, w bryle kryształowej soli widnieje pierścień św. Kingi, ów legendowy pierścień, który rzucony ręką bogobojnej królowej polskiej do kopalni soli na Węgrzech, miał zostać znalezionym w kopalni wielickiej. Nad pierścieniem jaśnieje aureola tęczowych blasków, a w dali majaczą wieże i baszty Wawelu. Całość ujęta w ramy zdobne w polskie motywy; na dole ram, między godłami Orła i Pogoni, mieści się herb Wieliczki. Bije z tej kurtyny i urok jakiś i czar legendarnych mroków przeszłości; tchnie z niej swojskość i jakieś dziwne ciepło.

Twórca kurtyny, p. Mroczkowski, to jedna z tych postaci zanikających, jeden z tych epigonów cyganeryi artystycznej, dzisiaj już prawie nieznanej, rozmiłowany w naturze i sztuce, którą jak bożyszcze uwielbia i gorącą kocha miłością. Życie jego, to życie prawdziwego artysty. W r. 1870 opuścił jako wyzwolony malarczyk warsztat pana Kicińskiego, aby zamienić pewny kawałek chleba na gorzką dolę artysty i zapisał się do Szkoły sztuk pięknych, gdzie wówczas panował podniosły duch, podtrzymywany przez takiego giganta-artystę, jakim był Matejko. Przebywszy w tej szkole trzy lata, udał się do Monachium, gdzie w niedługim czasie zdobył sobie uznanie krytyki. Powróciwszy do kraju, zwiedził Tatry i namalował cały szereg pejzażów tatrzańskich, tchnących czarownem oddaniem piękności i uroku gór naszych. Jeden z takich widoków wystawa światowa w San Francisko w roku 1894 odszczególniła medalem. W ostatnich czasach osiedlił się na Dębnikach pod Krakowem, gdzie rozbiła namioty kolonia artystyczna. Ostatniem jego dziełem jest kurtyna dla teatru amatorskiego w Wieliczce, którą wyżej opisaliśmy.

Przed kilku dniami odbyło się w Wieliczce uroczyste poświęcenie nowej kurtyny. Na uroczystość tę przybyło mnóstwo gości z Krakowa i okolicy, między nimi wielu artystów malarzy, którzy, jako fachowi znawcy, nie szczędzili p. Mroczkowskiemu pochwał za doskonałe pojęcie i wykonanie kurtyny; ma ona bowiem w sobie urok, czar i potęgę, jaką tchnie Wieliczka, ta mieścina, która w podziemiach swoich milionowe chowa skarby. Już pierwszy rzut oka na kurtynę daje niezatarty obraz majestatu i grozy kopalń wielickich. Olbrzymie zręby, ściany, wszystko ze soli, robią zupełnie wrażenie rzeczywistości, tak, że patrząc na kurtynę, mamy zupełnie złudzenie, jakbyśmy się znajdowali w tych głębiach.

Załączamy obok fotografię, przedstawiającą omawianą kurtynę.



(Treść na str. 12). Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Tanie mięso w Krakowie: Jatka magistracka z tanim mięsem przy placu św. Ducha.



urtyna w teatrze amatorskim w Wieliczce: Fotografia nowej kurtyny, pędzla p. Mroczkowskiego w Wieliczce. Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

3 (Ciąg dalszy).

W tej chwili wyszedł z zamku hrabia Jan Pierwsze jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem żony. Jakby uderzony obuchem, zatoczył się właśnie w stronę, gdzie stała Wilma. Nachylił się i ucałował ją — kobietę, której nie kochał.

A swojej smukłej, bladej, anielsko pięknej żonie, dla której biło każde uderzenie jego serca, jej — nie mógł się nawet dobrze przypatrzeć, żeby się nie zdradzić.

— To, Janie, moja nowa pokojówka! — zawołała hrabianka. — Mój kuzyn, hrabia Jan Mironeau.

Skłonili się sobie oboje, poczem Jan szybko zbiegł schodami na dół.

Wilma i jej pokojówka poszły do domu.

Było to wieczór między dziesiątą a jedenastą tego samego dnia.

Młoda hrabina znajdowała się właśnie w swoim mieszkaniu, które składało się z dwóch małych, ale ślicznie umeblowanych pokoików. Miała właśnie położyć się do łóżka, kiedy do drzwi ktoś zapukał, zrazu lekko, potem trochę silniej.

— Kto tam? — zapytała Laura, podchodząc ku drzwiom.

— To ja — Jan.

Poznała natychmiast jego głos, jednak namyślała się chwilę, nim go wpuściła. Hrabia wszedł, a Laura zamknęła drzwi napowrót.

Delikatnie, łagodnie, przyciągnął młodzieniec żonę w swoje ramiona i z nieopisanym wyrazem błogiej szczęśliwości patrzał w jej czarowne, jednak jakąś mgłą smutku przesłonięte oczy.

— Lauro, mam ci coś powiedzieć — rzekł przyciszonym, nieco drżącym głosem. — Okoliczności nie pozwalają mi na razie nazwać cię publicznie moją żoną, a nawet zmuszają mnie do tego, abym się z Wilmą zaręczył. W tych dniach ma się właśnie odbyć ta komedya zaręczyn.

Młoda hrabina wyrwała się z jego objęć.

— Nie, Janie, z hrabianką Wilmą nie możesz odgrywać podobnych komedyi — mówiła z zapartym oddechem. — Ona jest zanadto dobra, zanadto szlachetna i — ona zasługuje na to, ażeby przez miłość była szczęśliwą.

— Ale, moje ty kochanie najsłodsze, żoneczko ty moja jedyna, ja się ciebie nigdy nie wyprę, nigdy, słyszysz? Nigdy!

Podniósł rękę w górę, jakby przysięgał.

Laura czuła, że każda komórka jej serca lgnie do tego pięknego, rycerskiego mężczyzny a jednak — chciała, postanowiła, musiała się uczuciu oprzeć. W duszy jej szalała burza, która ją przyprawiała o utratę zmysłów. Ciężko westchnąwszy, opadła na krzesło.

W tej chwili na wieży zamkowej wybiła jedenasta.

— Muszę teraz jechać do miasta, aby powitać mojego kolegę, który tu przybywa z Paryża — rzekł hrabia. — Bądź zdrowa najdroższa i śnij słodko, śnij o twoim Janie!

Złożył na jej różowych ustach długi, ognisty pocałunek i wyszedł.

Hrabina zamknęła starannie drzwi i udała się do sypialni.

Tam wisiał na ścianie stary obraz, przedstawiający Chrystusa na krzyżu. Przed nim upadła na kolana i wyciągnęła ręce błagalnie ku boskiemu Zbawicielowi.

— O mój ty, do krzyża przybity, Zbawicielu, spojrz łaskawym wzrokiem na mnie biedną, nieszczęśliwą kobietę! Bądź ty mi pomocą w mem opuszczeniu! Okryta hańbą swoich własnych rodziców, muszę zrzec się wszelkiego szczęścia na ziemi — i ja chcę to uczynić, chcę — a Ty, boski pocieszycielu — dodaj mi sił — do wytrwania!

I kiedy teraz, zalana łzami, przycisła swe spieczone wargi do ran ukrzyżowanego, w duszę jej spłynął pokój i pocieszenie i zdało się jej, że słyszy głos Zbawiciela, mówiący do niej:

— Niewinnie cierpisz, moje dziecko! Jednak wytrwaj cierpliwie! Walka twoja skończy się tryumfem zwycięstwa.

Podniosła się z klęczek dziwnie wzmocniona. Położyła się do łóżka i wkrótce łagodny sen zamknął jej znużone powieki. Wprawdzie znajdowała się w domu człowieka, który chociaż jej nigdy nie widział, godził na jej życie — jednak dobry anioł rozpostarł nad nią swe opiekuńcze skrzydła i pod ich osłoną zasnęła spokojnie, pod opieką Boga.

V.

Zamek myśliwski Preneste.

Dziko romantyczna jest okolica, w której się wznosił zamek Preneste. Zamek ten sięgał, jak się zdaje, zamierzchłej przeszłości. Rozrzucone w szczególny sposób kopuły i wieżyczki, baszty i przymurówki, które prawdopodobnie miały służyć ku ozdobie gmachu, dzisiaj już mocno zębem czasu draśnięte, odrapane i poniszczone, padną w niedługim chyba czasie pod naporem wichrów, którym się setki lat skutecznie opierały. Prastare, garbate drzewa stoją jakby jakieś przedpotopowe olbrzymy naokoło zamku, a kiedy w ciemnej nocy wicher zawyje, w gałęziach i listkach ich słychać, zdaje się, głosy duchów, pełne skarg i boleści. Lecz zamek i całe jego otoczenie, to jakby jakiś cmentarz, jakieś dziwne a straszne miejsce, gdzie wszystko wymarło. Kiedy zbłąkany wędrowiec zabłądzi czasem w ten tajemniczy ostęp, ucieka przerażony, jakby go tysiąc szatanów gnało, tembardziej, jeżeli jeszcze czasem zobaczy w jednem z okien zamkowych jakie światełko.

W całej okolicy nikt nie wie, że zamek ten, któremu lada chwila grozi ruina, jest zamieszkany. A przecie mieszka w nim kasztelan, który od niepamiętnych już czasów w tem cichem żyje odludziu.

Stary Marcin, ośmdziesięciopięcioletni starzec, mieszkaniec tego zamku, jest zresztą sam już ruiną. Świat o nim zapomniał, mało kto go zna, żyje tylko dla siebie i dla swych potrzeb, zresztą bardzo skromnych.

Cicha noc letnia, pełna czarujących wdzięków i uroków, owinęła śpiący świat.

Stary kasztelan powrócił właśnie z wycieczki. Stękając z utrudzenia, złożył na ziemi naładowany kosz i zaświecił lampę. Zrzucił bluzkę i kapelusz i położył się na kanapie.

Głowa jego, pokryta zaledwie kilkoma, białymi jak śnieg włosami, z pergaminową twarzą, a w niej głęboko zapadłemi oczyma, wydawała się jakąś trupią czaszką, w którą nieznane, tajemnicze siły wlały iskrę życia i kazały działać zmysłom.

W młodości był Marcin prawdopodobnie silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, bo i teraz jeszcze, pomimo tak podeszłego wieku, nie można było u niego zauważyć starczej niedołężności.

— Ja żyję w naturze, z naturą i podług natury i natura to daje mi tę rzeźkość i wieczną młodość.

Tak zwykł mówić kasztelan z Preneste, ile razy go kto zapytał, jakim środkom zawdzięcza ten swój długi wiek.

Odpocząwszy kilka minut, zabrał się Marcin do rozpakowania kosza. Przyklęknął i wydobywał zeń rozmaite przedmioty. Okazało się, że to były same środki spożywcze. Było też tam i kilka flaszek, prawdopodobnie z winem i wódką.

Ułożywszy wszystkie zapasy, jakie przyniósł, w szafce, nałożył sobie fajkę, zapalił i położywszy się napowrót na kanapie, puszczał kłęby dymu i śledził je oczyma.

Że przytem mózg jego pracował, o tem świadczyły błyski jego oczu i słowa, jakie od czasu do czasu wylatywały z jego bezzębnych ust. A nie były to myśli pogodne, bo starzec rzucał się, ruszał ramionami, a od czasu do czasu słychać było, jak rzucał przekleństwa.

Tak minęło może z półtorej godziny.

Wtem w jednym rogu pokoju poczęło coś brzęczeć i dźwięczeć; to stary zegar kurantowy wydzwaniał północ.

Starzec odłożył zimną już fajkę na stół i podniósł się.

— Już czas — rzekł; podszedł do szafy, otworzył ją i rozpoczął jakąś dziwną czynność.

Naprzód napełnił winem małą flaszeczkę, potem wyjął trochę ze swoich zapasów do jedzenia i zapakował to do małego koszyczka.

Potem wdział długi, wygodny płaszcz, zapiął go aż pod samą szyję, łysą swoją czaszkę nakrył ciepłą czapeczką, a w końcu zapalił małą ręczną latarnię. Zdjął z gwoździa wielki klucz, schował go do kieszeni i zabrawszy latarkę oraz koszyczek z wiktuałami, opuścił pokój.

Wlokąc się powoli, przeszedł przez kilka korytarzy, zeszedł na schody, prowadzące do piwnic, za pomocą zabranego klucza otworzył drzwi i znalazł się w podziemiach zamku.

Były to nieprzyjemne miejsca, te obszerne, sklepione chodniki i piwnice, do których nawet w najjaśniejszy dzień nie przedostawały się promienie słońca.

Marcin przeszedł przez kilka takich ciemnych korytarzy i stanął wreszcie przed drzwiami, które, jak się zdawało, prowadziły do osobnego jakiegoś przedziału. Małym kluczykiem odemknął kłódkę, otworzył drzwi i wszedł do wnętrza. Była to nieduża piwnica, ale urządzona jakby mieszkanie człowieka. Stał tam stół i krzesełko, a w głębi widać było tapczan.

Położył koszyczek na stole, podszedł do łóżka, podniósł latarnię i oświecił nią jeszcze młodocianą, bladą postać kobiecą, leżącą z zamkniętemi oczyma. Płaska jej pierś ledwie się podnosiła i możnaby ją było wziąć za umarłą, gdyby nie pewne oznaki, które zdradzały, że w tej bezsilnej postaci jest jeszcze jakaś iskra życia.

Marcin pociągnął ją za ramię i zbudził. Otworzyła oczy.

— Przyniosłem ci znowu posiłek — rzekł starzec, patrząc na nią zimnemi oczyma.

Leżąca poruszyła się i zmęczona usiadła na łóżku. Poruszała wargami, z których jednak nie wydobywał się nawet szept.

Marcin wziął flaszeczkę z winem i dał się jej napić.

— To orzeźwia i dodaje sił — rzekł. – W niewoli nie jest ci znowu tak źle — dodał pocieszająco — i jeżeli się tylko przyzwyczaisz do samotności, to będziesz nawet zadowolona ze swego losu.

Klara — nieszczęśliwa ta była bowiem dawną pokojówką Wilmy — podniosła ręce ku niebu.

— Wielki Boże! — zawołała — więc jeszcze długo mam być w tej niewoli?

— Tylko tak długo, dopóki nie umrzesz, ani minuty dłużej — drwił starzec.

— Cóż ja jednak za zbrodnię popełniłam, że mnie tu jak jakie dzikie zwierzę zamknięto w ten ciemny loch?

Marcin wzruszył ramionami.

— Nie tylko dzikie zwierzęta — rzekł — ale i ludzie, którzy widzą upiory, mogą być niebezpieczni i trzeba ich zamykać.

— A, zgaduję teraz! Więc ten upiór, którego widziałam w zamku hrabiego...

— Miał krew i ciało — przerwał jej Marcin.

— To była Amerykanka! — ciągnęła dalej Klara — ta nieszczęśliwa kobieta, o której ludzie sobie po cichu opowiadają, że ją hrabia Mironeau trzyma gdzieś w więzieniu.

— No, no, jakeś ty naraz zmądrzała! Jakaś ty sprytna! — rzekł Marcin, grożąc jej palcem.

— Jeżeli kto widział to, co ja owej nocy ujrzałam, to musiał przyjść do przekonania, że ta wieść, chodząca wśród ludu, o zaginionej hrabiniemilionerce, nie jest bynajmniej czczą bajką.

— No tak, historya o zniknięciu hrabiny nie jest wcale bajką i dlatego właśnie osadzono cię tutaj, ażebyś nie rozgadywała o tem, żeś widziała upiora, bo mogłoby to sprowadzić bardzo złe skutki.

Nieszczęśliwa chwyciła się oboma rękami za głowę.

— Wszechmocny Panie, co za tyraństwo, co za nieludzkość! — wołała zdławionym głosem. — Ofiara wściekłej żądzy złota gnije tam gdzieś w lochu zamkowym, a mnie czeka tensam los!

— Już cię nie czeka — syknął Marcin — dopóki żyć będziesz, pozostaniesz tutaj i już nie będziesz nigdy wolnem oddychać powietrzem.

W oczach Klary błysnęły ognie.

— Jest jeszcze Bóg w niebie, a on nie ścierpi takiej o pomstę do niego wołającej niesprawiedliwości — zawołała głosem, który krew ścinał w żyłach.

Marcin odszedł kilka kroków od łóżka i patrzył na nieszczęśliwą szyderczym wzrokiem.

— Teraz jest północ — rzekł — musisz więc trochę głośniej krzyczeć, jeżeli chcesz, ażeby cię twój Bóg, który teraz z pewnością śpi jak kamień, wysłuchał.

— Nędzny szyderco, ty, co służysz za narzędzie w ręku zbrodniarza, ja ci powiadam: drżyj przed zemstą Wszechmocnego, bo On ciebie wraz z twym panem zbrodniarzem mocą swojej karzącej prawicy zmiażdżyć może i zmiażdży cię kiedyś!

— Masz jadowity język, jak żmija — drwił stary, idąc ku drzwiom. — Ale cierpliwości! Z czasem i tobie tutaj język skołczeje.

Z temi słowy wyszedł z piwnicy, w której rozlegały się skargi nieszczęśliwej i zamknąwszy starannie drzwi, powrócił tą samą drogą, którą przyszedł, do swego mieszkania.

Upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy z podwó-

rza dobiegł go odgłos kopyt końskich, uderzających o kamienie, jakimi dziedziniec był wybrukowany.

Kasztelan wyszedł na pole i wkrótce powrócił do pokoju w towarzystwie starego hrabiego Mironeau.

Ten ostatni usiadł przy stole i skinieniem ręki wskazał kasztelanowi miejsce naprzeciw siebie.

— Dawno już u ciebie nie byłem, mój stary. Jakże ci się tu powodzi?

— Nie źle, łaskawy panie.

— Jesteś jeszcze zdrów i czerstwy — hej stary, dokądże ty chcesz żyć?

— Przynajmniej tak długo, jak Matuzalem — żartobliwie odpowiedział Marcin.

Hrabia skinął głową z uśmiechem.

— No, ale żarty na bok; jakże się ma obłąkana?

— Zdrowa i rzeźka; właśnie przed chwilą złożyłem jej wizytę.

— Więc już po części przyzwyczaiła się?

— Po trochu; wprawdzie od czasu do czasu jeszcze się ciska i psioczy, no, ale z czasem to i to ustanie.

Hrabia bębnił palcami po stole i pogwizdywał jakąś wesołą aryjkę.

— Nie znasz kobiet, stary — zawołał nagle ożywiony — to stworzenia sprytne i podstępne, zwłaszcza, jeżeli chodzi o podejście mężczyzny. Uważaj więc, żeby i ciebie nie wzięła kiedy na kawał.

— Ale w jaki sposób?

— Tego, to i ja nie wiem; może będzie chciała prośbami, płaczem zmiękczyć twoje serce.

— To by się nadaremnie trudziła i o to może pan hrabia być zupełnie spokojny.

Hrabia poklepał go poufale po ramieniu.

— Umiem cenić twoją wierność, Marcinie i możesz być przekonany o mojem do ciebie zaufaniu. Jednak teraz o czem innem.

Znowu począł bębnić palcami po stole, a twarz jego przytem zmieniła się do niepoznania.

— Marcinie — zaczął stłumionym głosem — czy twój syn żyje jeszcze?

— O którym pan hrabia myśli?

— Ten, co to był pomocnikiem rządcy Bernera, wtedy, jak mego brata zamordowano.

Starzec z początku się zakłopotał, ale zdołał wkrótce zapanować nad sobą i twarz jego przybrała znowu dawny, obojętny wyraz.

— O nim już dawno nie słyszałem i nie mam nawet pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

— Mówisz prawdę, Marcinie?

— Jak tu stoję przed jaśnie panem — zapewniał stary.

— A jakże doszło do tego, żeście zerwali ze sobą wszelkie stosunki?

Marcin wzruszył ramionami.

— Dalibóg, tego dokładnie powiedzieć nie mogę. Od czasu owego wielkiego procesu o morderstwo przed kilkunastu laty, w którym syn mój musiał świadczyć przeciwko rządcy Bernerowi i jego żonie, nastąpiła między nami — dlaczego, nie wiem — pewna oziębłość; widywaliśmy się coraz rzadziej, aż wreszcie syn mój znikł z tych stron.

— I od tego czasu już więcej o nim nie słyszałeś?

— Pisał jeszcze kilka razy do mnie, nie podając jednak nigdy adresu...

— O czem pisał mniej więcej?

— Pisał, że wygrał na loteryi jakąś większą sumkę, że zaczął spekulować, spekulacye powiodły mu się szczęśliwie, tak, że stał się bogatym człowiekiem.

— A skądże listy przychodziły?

— Jeżeli się nie mylę, to nadawane były w Berlinie.

— Kiedy otrzymałeś ostatni list?

— Na Boże Narodzenie będzie... ośm lat.

— I od tego czasu więcej nie pisał?

— Nie.

— No, to już chyba umarł.

— Nie przypuszczam, panie hrabio.

— Dlaczego? — Ośm lat, to długi przeciąg czasu; człowiek się może nawet i z kostuchą załatwić.

Marcin potrząsł żywo głową.

— Będzie temu ze dwa lata, kiedy byłem w Berlinie i tam przypadkowo go spotkałem.

— O, jakże to?

— Wlokłem się właśnie jakąś szeroką ulicą, kiedy ujrzałem przed sobą powóz, w którym siedział mój syn obok jakiejś młodej, przepięknej damy.

— Musiałeś się pomylić, stary — nie?

— E, gdzieżbym ja tam nie poznał mojego syna panie hrabio — zaprzeczał stary. — Stałem przecie na ulicy, a tuż koło mnie przejeżdżał powoli powóz. Była chwila, żeśmy sobie, ojciec i syn, po wielu, wielu latach, spojrzeli znowu w oczy.

— To i on cię wtedy musiał poznać.

— A juści, że mnie poznał; przecie pozdrowił mnie skinieniem głowy, a nawet, kiedy powóz już przejechał, jeszcze się obrócił ku mnie.

Hrabia patrzył przed siebie zamyślony: twarz jego zdradzała coraz większe wzburzenie. Sięgnął nagle do kieszeni i wyciągnął z niej jakąś kopertę.

— Marcinie — rzekł — od tylu już lat jesteś moim powiernikiem a jeszcze nigdy nie złapałem cię na niedyskrecyi. Więc i teraz wtajemniczę cię w pewną sprawę, w której trzeba zachować jak największe milczenie.

— Ja je też zachowam, jaśnie panie — zapewniał sędziwy kasztelan. — Towarzystwo — dodał z uśmiechem — w jakiem ja się obracam, to zwierzęta leśne, zające, lisy i sarny; przyjaciele moi — to ptaszęta; im to powierzam jedynie moje



...Przyniosłem ci znowu posiłek — rzekł starzec, patrząc na nią zimnemi oczyma.

tajemnice. Komu innemu nie mogę, bo nie mam nikogo. Czy to wystarcza?

Hrabia skinął głową.

— A więc, słuchaj, o co chodzi. Wczoraj wieczorem, przeglądając moje stare korespondencye, znalazłem między listami pismo od twego syna, które leżało nierozpieczętowane w jednej ze skrytek w biurku. Data, jaką odczytałem na marce, sięga dwa lata wstecz; sam pojąć nie mogę, w jaki sposób właśnie ten list, taki ważny, mógł wtedy ujść mej uwagi.

— Dziwna rzecz, dziwna rzecz — mruczał Marcin.

— Natęż uszy, stary, przeczytam ci ten list.

Rozłożył pismo i zaczął czytać:

„Jaśnie Wielmożny Panie hrabio!

Jak Panu wiadomo, ja podjąłem się opieki nad wychowaniem córki rządcy Bernera, Gizeli, której też nadałem imię Laury. Dziewczyna rozwinęła się bardzo ładnie i wyrosła na prześliczną kobietę. Natura obdarzyła ją też wspaniałemi zaletami duszy, które dzięki wykształceniu, jakie odebrała, harmonijnie się rozwijały i dojrzewały. Jednem słowem: dziewczyna, mająca dzisiaj lat siedemnaście, może uchodzić za pannę, która urokiem, pięknością i wykształceniem znacznie inne panny przewyższa, nawet te, które miały szczęście urodzić się w najlepszych domach.

Pisząc to, chciałbym pana hrabiego przygotować na szczególne zrządzenie losu, które i pana, panie hrabio, blisko obchodzi.

Moja przybrana córka, Laura, poznała się przed niedawnym czasem z pewnym młodym, pięknym oficerem. Ze znajomości tej wyrosła wkrótce wzajemna, głęboka miłość obojga młodych. Z początku trzymałem się na uboczu; kiedy mnie zaś wtajemniczono w to, co się dzieje, stanąłem już wobec dokonanego faktu: serca młodych były już połączone węzłem najczystszej, płomiennej miłości.

I to jest jądro sprawy.

Ów oficer, prosząc mnie o rękę mej przybranej córki, wymienił po raz pierwszy przedemną swój stan i swoje nazwisko. Brzmiało ono: Jan hrabia Mironeau.

Szczególne zrządzenie losu, że właśnie te dwa serca ludzkie zapłonęły gorącą ku sobie miłością!

Zwracam się tedy do pana hrabiego z uprzejmem zapytaniem, czy pan hrabia byłby skłonny zezwolić na ślub swego syna z panną Berner. Do dwudziestego bieżącego miesiąca będę czekał na pańską odpowiedź; jeśli jej w tym czasie nie dostanę, będę uważał milczenie za zgodę i według tego postąpię.

Nie mam zamiaru w jakikolwiek sposób wpływać na pańskie postanowienie, nie mogę jednakże nie zwrócić panu hrabiemu uwagi, że niezgodzenie się pana na ten związek unieszczęśliwi na zawsze dwoje młodych ludzi; dlatego załączam od siebie pokorną prośbę, by pan hrabia raczył zezwolić na ich połączenie się i nadesłać kochającym się swoje ojcowskie błogosławieństwo".

Tu hrabia upuścił list i podniósł wzrok w górę.

— Cóż ty na to, kochany Marcinie? Cóż ty na to powiesz?

— Że byłoby lepiej, gdyby pan hrabia był ten list przeczytał zaraz po otrzymaniu, a nie dopiero teraz.

— No tak, z pewnością! Byłbym spadł na nich jak burza i całą tę miłosną aferę w puch rozwiał.

— Więc młody pan hrabia rzeczywiście ożenił się z Bernerówną?

— Na pewne ,nie wiem; ale trzeba, zdaje się, przyjąć za pewnik że tak jest w istocie.

— Gdzież więc jest jego żona?

— Tak — gdzie? To właśnie chciałem wiedzieć! Jednak długo to nie będzie tajemnicą i zrobisz bardzo dobrze, jeżeli przygotujesz jeszcze jedną piwnicę dla kobiety, którą, jeśli ją tylko odkryję i odnajdę, muszę usunąć ze świata.

Stary skinął głową na znak zgody.

— Jest tam na dole dosyć pięknych celek, a i umeblowanie się znajdzie.

— Żebym tylko wiedział, gdzie się twój syn znajduje! Czekajno! Kiedy się wzbogacił, musiał pewnie zmienić nazwisko; nie wiesz przypadkiem, jak się przezwał?

— A wiem. Jak wyjechał do Niemiec przezwał się, zaraz, zaraz. Aha. Nazywa się... Fryderyk Hohlfeld.

Hrabia wstał uradowany.

— Fryderyk Hohlfeld! Dobrze! Teraz go już łatwo odszukam.

Zanotował nazwisko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Podarki z Rzymu: Tryptyk Wygrzywalskiego, ofiarowany Radzie miejskiej miasta Lwowa.

Tanie mięso w Krakowie.

Walka z drożyzną mięsa, podjęta jeszcze przed kilku tygodniami we Lwowie i Przemyślu przez tamtejsze magistraty, skłoniła nareszcie i Radę miejską miasta Krakowa do zajęcia się tą sprawą. Na skutek uchwały Rady otwarto bowiem w ubiegłym tygodniu i w Krakowie dwie jatki z mięsem tańszem, a mianowicie jednę przy placu św. Ducha, drugą na placu Wolnica. Nadzieje jednak, jakie przywiązywano do otwarcia jatek miejskich, rozwiały się zaraz po ich otwarciu. Przekonano się bowiem, że „tanie mięso" magistrackie jest zaledwie o 2 halerze na kilogramie tańsze, aniżeli mięso u rzeźników prywatnych. Trzeba przyznać, że zdziwienie, a poniekąd i oburzenie publiczności, w tym wypadku było zupełnie wytłómaczone. Przecież dla dwóch halerzy nie warto gospodyni zrywać ze rzeźnikiem prywatnym, u którego stale mięso kupuje i dlatego może sobie wybrać części bardzo ładne i dobre. Tem też tłómaczy się fakt, że już na drugi dzień po otwarciu jatek miejskich nie było przy nich ciżby ani tłoku, nie było poprostu kupujących. Większy ruch obserwować było można jedynie w jatce miejskiej na Wolnicy, gdzie już o godzinie 9 rano wysprzedano wszystkie zapasy.

Otwarcie jatek miejskich z „taniem mięsem" w Krakowie było tylko dowodem, że Rada miejska ma rzeczywiście „dobre chęci", ale te dobre chęci nie wystarczą, ażeby drożyźnie, coraz bardziej wzrastającej, zapobiedz. Do takiej rzeczy trzeba się wziąść z energią, postarać się, ażeby mięso w jatkach magistrackich było tańsze nie o dwa, ale o dwadzieścia halerzy, co przecież zrobić można, a zrozumiałą jest rzeczą, że tylko w ten sposób będzie można przełamać upór rzeźników i zmusić ich do obniżenia cen.

Mięso jest, jak wiadomo, najbardziej używanym artykułem żywności w większych miastach. Drożyzna mięsa daje się więc dotkliwie uczuwać nie tylko sferom najuboższym, które go i tak mniej używają, ale nawet sferom tak zwanym lepszym, urzędnikom i t. d. Walkę z drożyzną mięsa powinno się więc podjąć z całą energią, tembardziej, że w roku bieżącym wszystkie artykuły żywności podrożały. Mamy więc nadzieję, że i magistrat krakowski dołoży starań, aby ceny mięsa tańszego były rzeczywiście mniejsze, gdyż tylko w ten sposób da się osiągnąć zniżenie cen u rzeźników prywatnych.

* * *

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię, przedstawiającą jatkę magistracką z taniem mięsem przy placu św. Ducha na drugi dzień po otwarciu. Jak widać, ruch kupujących jest bardzo mały.

Podarki z Rzymu.

Na wiosnę b. r. urządzoną została pielgrzymka uczniów szkół średnich Galicyi do Rzymu, pod patronatem arcybiskupa lwowskiego ks. Bilczewskiego, a pod przewodnictwem radcy Gerstmana i dyrektora Lityńskiego. Pielgrzymka udała się w zupełności, a uczestnicy jej dla stwierdzenia uczuć przywiązania i życzliwości wobec ukochanego grodu stołecznego Galicyi, miasta Lwowa, ofiarowali zawiązującej się miejskiej galeryi obrazów dwa bardzo cenne podarki. Jednym z nich jest wspaniałe dzieło sztuki, tryptyk pędzla artysty-malarza p. Wygrzywalskiego, zatytułowany „Wyzwolenie", drugim piękna teka, istne cacko sztuki introligatorskiej, zawierająca rękopis ojca św. Piusa X; rękopis ten obejmuje przemówienie papieża do pielgrzymki.

Oba te cenne podarki zostały w zeszłym tygodniu uroczyście wręczone prezydyum Lwowa. Imieniem inicyatorów i przewodników pielgrzymki studenckiej przemówił ks. arcybiskup Bilczewski, imieniem miasta zaś prezydent p. Michał Michalski. Uroczystość odbyła się w westybulu miejskiego muzeum przemysłowego, przy udziale bardzo wielu zaproszonych osób. Ogólne zaciekawienie budził przedewszystkiem piękny obraz Wygrzywalskiego, dzieło niepospolitego talentu, które też będzie prawdziwą ozdobą lwowskiej galeryi obrazów.

Rycina nasza przedstawia „Wyzwolenie" pana Wygrzywalskiego, zawieszone w westytulu muzeum.

Dziatwa w strojach narodowych w Krakowie.

Charakterystyczną cechą, znamionującą skażenie ducha polskiego wśród naszego ludu jest fakt, że lud nasz z dniem każdym zarzuca coraz bardziej piękne stroje ojców, zamieniając je na wstrętne kubraki niemieckie, kupowane po większej części na tandetach. Niektóre okolice w Galicyi, w których przed laty trzydziestu noszono jeszcze barwne stroje, bawiące oko barwami i krojem, dzisiaj przez zarzucenie tych strojów zmieniły się do niepoznania. To skażenie ducha polskiego objawiło się w ostatnich czasach nawet



Dzieci w strojach narodowych w Krakowie: Grupa dzieci szkolnych z Mogiły w strojach narodowych.

wśród ludu krakowskiego, słynącego oddawna z piękności swych strojów.

Prawdziwie pożyteczną i rzeczywiście uznania godną jest więc praca, podjęta w tym celu, aby ludowi naszemu wytłómaczyć, że nie godzi się zarzucać stroju ojców, tembardziej, że stroje te są bardzo charakterystyczne dla każdej okolicy, a stokroć piękniejsze od tandetnych wyrobów niemieckich. Pracę taką podjęli OO. Cystersi w Mogile pod Krakowem.

Przed kilku dniami widziano w Krakowie gromadę dzieci, ubranych czysto po krakowsku, które pod kierunkiem swych nauczycieli, zwiedzały pamiątki naszego grodu. Widok tych dzieci zarumienionych, w barwnych sukmanach, w krakuskach na głowach, był i oryginalny i wielce miły. Dzieci te zwracały też powszechną uwagę na siebie. Aż serce rosło, kiedy się na nie patrzyło. Chłopaki zdrowe, z rumianymi buziakami, ze śmiałem, bystrem spojrzeniem błyszczących śmiałością i odwagą oczu, szły dumne, pewne siebie, a barwne stroje dodawały im uroku. Były to dzieci szkolne z Mogiły, uczniowie i uczennice szkoły, pozostającej pod kierunkiem OO. Cystersów. Zwiedziły one Zamek, Skałkę, kilka kościołów, oraz park dra Jordana, gdzie im urządzono podwieczorek.

Takie wycieczki dzieci ziemi krakowskiej do Krakowa, celem zapoznania ich z pamiątkami, jakie gród Jagiellonów w sobie chowa, są bardzo potrzebne i pożyteczne. Prawdziwe więc uznanie musi spotkać kierowników szkoły mogilskiej, księży Fr. Urygę, Cel. Grzesiaka i Marcina Orawca, za zorganizowanie tej wycieczki, oraz za pracę nad wyrugowaniem strojów niemieckich z ziemi krakowskiej.



Nowy teatr w Czerniowcach: Grupa gości, reprezentantów władz i prasy, zebrana podczas otwarcia nowego teatru. (Treść na str. 3).

Fałszerze pieniędzy.

Prawdziwą plagą, dla ludności galicyjskiej zwłaszcza, stały się w ostatnich czasach fałszywe pieniądze, jakiemi banda fałszerzy, mająca główną siedzibę w Londynie, zasypywała biedny nasz kraj. W poprzednim numerze podaliśmy fotografię uwięzionego już herszta podrabiaczy 50 koronówek Nuchima Schapiry, oraz jego ajentów, Chaima Schwalba i Laury Klugmanowej. W ubiegłym tygodniu rozpoczęła policya pościg jeszcze za jednym członkiem tej bandy, prawą ręką Schapiry, Abrahamem Fischem. Fisch był w handlu fałszywemi 50 koronówkami pośrednikiem i głównym ajentem. On to wyjeżdżał z Londynu do Galicyi, do Królestwa Polskiego, na Wołyń i na Węgry i wyszukiwał kupców na falsyfikaty. Dotychczasowe śledztwo wykazało, że fałszerze sprzedawali je z opustem 76%, to znaczy, że np. za 100 sztuk falsyfikatów żądali tylko 1200 koron. Handel szedł dobrze, Fisch był kilkakrotnie w Galicyi i znalazł na swój „towar“ dużo odbiorców. Po uwięzieniu Schapiry Fisch czując, że źle, drapnął niewiadomo dokąd i pomimo usilnych starań, nie zdołano go jeszcze dotychczas przytrzymać.

Jeszcze nie przebrzmiały echa aresztowań fałszerzy 50-koronówek, a już zaalarmowała publiczność wiadomość, że pojawiły się fałszywe 5-koronówki. Mianowicie w ubiegłym tygodniu aresztowano w Krakowie na rynku pewnego rzezimieszka, który, kupując na targu masło od wieśniaczki, zapłacił jej fałszywą 5-koronówką. Kobieta, której i pieniądz i ów pan, od którego go dostała, wydał się podejrzanym, zwróciła się do stójkowego, co widząc fałszerz, począł uciekać. Schwycono go, a przy rewizyi znaleziono przy nim kilkanaście sztuk 5-koronówek w węzełku, 1 w kieszeni, a jedną już był wydał — wszystkie fałszywe.

Aresztowany podał z początku, że nazywa się Władysław Bialik i pochodzi z Królestwa. Dalsze badanie wykazało jednak, że ów rzekomy Bialik nazywa się Teofil Brykczyński i jest zbiegiem z więzienia karnego we Lwowie, gdzie odsiadywał karę za fałszerstwo monet. Zbiegł on 8 sierpnia wraz z trzema współwięźniami, którzy zostali przytrzymani, jemu jednak udało się ukryć przed pościgiem. Przybywszy do Krakowa osiadł w Dębnikach i prowadził pertraktacye w celu nabycia piekarni. Brykczyński był fałszerzem monet pięciokoronowych na wielką skalę. Przy poprzedniem aresztowaniu znaleziono u niego 100 falsyfikatów. Policya prowadzi obecnie energiczne śledztwo celem wykrycia wspólników Brykczyńskiego.

Załączamy obok fotografię obydwóch fałszerzy monet, a mianowicie Abrahama Fischa i Teofila Brykczyńskiego.



Z dni rzezi w Baku: Tatarzy i Armeńczycy walczą z kozakami bronią palną na ulicach Baku.

KRONIKA LWOWSKA.

Lwowskie recenzye teatralne i lwowscy recenzenci. — Spór o panią Zawiejską. — Wywiady i wywiedzenie w pole. — Kupa śmiechu. — Spór o „Szopena“.— Kłopot p. Michalskiego. — W uznaniu zasług hyclowskich. — Końskie mięso i tragedya końskiego bytu. — Regulamin dla automobilów. — Interpelacya p. Czarneckiego. — Wzorki. — Co ma być z 3 piętrem. — Słówko o operze. — We Lwowie nietrudno o pieniądze. — Niedoszły samobójca. — Fryzyer. — Zagadkowy projekt. — Na co włos może się przydać. — Nowy ruch w przemyśle krajowym.

Miasto nasze było w ostatnich czasach miejscem kilku sporów, które wprawdzie nie spowodowały rozlewu krwi i nie zakończyły się w sądzie, ale które wywołały wielkie zainteresowanie.

Pierwszym był spór o Zawiejską. Młoda artystka zaledwie pojawiła się na scenie i już stała się mimowoli kością niezgody między dwoma recenzentami teatralnemi. Lwowskie recenzye teatralne prawdopodobnie nie przejdą do literatury, na czem swoją drogą literatura nic nie straci. Mamy właściwie we Lwowie tylko dwóch dobrych recenzentów dramatu a tymi są: Ostap Ortwin, najlepszy znawca dramatu i Z. Wasilewski najlepszy znawca gry aktorskiej. Z tych pierwszy nie pisuje w żadnym dzienniku lwowskim, a tylko od czasu do czasu drukuje coś w „Krytyce“ Feldmana, drugi bardzo rzadko pisuje sprawozdania z teatru w „Słowie“. Kasprowicz porzucił recenzye, Womela puszcza czasem fajerwerki według swego widzimisię, a z hofratem Krechowieckim przestano się liczyć zdaje się raz na zawsze pomimo, że wpływ swój zachował jeszcze jako cenzor w teatrze. Prócz tych „zawodowymi“ recenzentami chcą być w ostatnich czasach pp. Kornel Makuszyński i Henryk Cepnik. Z tych pierwszy ma przynajmniej jaki taki talencik, gładki styl i mógłby z czasem istotnie wyrobić się.... Drugi ma tylko dobrą wolę, która jak wiadomo rzadko tylko, a w tym wypadku nigdy nie wystarcza... Między tymi dwoma przyszło właśnie do sporu o Maryę Zawiejską. Grała Maryę w „Warszawiance“ po raz pierwszy. Debiut i premiera, o których się przedtem ani czytało ani słyszało, to najgorszy orzech do zgryzienia dla recezenta-dyletanta. Zaczyna tedy wąchać.... Bo nos czasem daje to, czego braknie mózgowi. Ale dobrze wąchać to także sztuka nielada. Tak tedy p. Cepnik podczas antraktu, zaraz po debiucie pani Zawiejskiej, zbliżył się do swego koleżki p. Makuszyńskiego, ażeby zręcznie wybadać go, co sądzi o talencie debiutantki. Ale Makuszyński jest poetą, a nawet w chwilach wolnych od myślenia humorystą, puszczającym rakiety humoru w kronice organu, którego jest dumą i sekretarzem. Postanowił więc zakpić wcale nie po chrześcijańsku ze swego kolegi i na pytanie, jak mu się p. Zawiejska podoba, pokręcił nosem. Pan Cepnik nie dał mu dwa razy „pokręcić“, bo chytrym, jak lis będąc, już wiedział, co ma sądzić o grze debiutanki. Poszedł uradowany do domu i wypalił taką recenzyę, tak bardzo zchepał biedną p. Zawiejską, że ta po przeczytaniu tych komplementów musiała pewnie płakać. Ale nie płakała... Bo w „Słowie“ tenże p. Makuszyński tego samego dnia napisał hymn pochwalny dla pani Zawiejskiej, podnosząc jej niepospolitą inteligencyę, talent, rutynę i t. d. Po przeczytaniu koleżeńskiej recenzyi w „Słowie“. p. Cepnik, tak sromotnie wywiedziony w pole, chciał w pierwszej chwili swego kolegę zastrzelić, albo bodaj zabić czemś bardzo twardem. Ale że nic twardego pod ręką nie miał, prócz pióra, a kolega był w znacznem oddaleniu, przeto zakasał rękawy i napisał artykulik nadziany dynamitem a zatytułowany „O uczciwości w krytyce“, w którym w sposób naiwny ponad spodziewanie, wytyka Makuszyńskiemu nieuczciwość, skoro w antrakcie co innego mówił o p. Zawiejskiej a w sprawozdaniu co innego napisał. Artykulik swój wydrukował p. Cepnik w „Monitorze“, ażeby nikt nie domyślał się, kto jest autorem. A jednak ktoś domyślił się. Był nim sam Makuszyński, który w owym antrakcie tylko z Cepnikiem mówił o p. Zawiejskiej... I napisał p. Makuszyński „wesołą bajeczkę ku rozweseleniu czytelników“ w kronice „Słowa“ wyjaśniając całą sprawę. W teatrze i w lokalach publicznych zaśmiewano się na śmierć...

Tak jest — recenzeci powinni się wprawdzie naprzód porozumiewać, ale szczerze, nie żartem. Inny spór wyniknął o „Szopena“, ostatnią operę naszego teatru. Niewiadomski twierdzi, że „Szopen“ jest arcydziełem, Jan Gall jest zupełnie przeciwnego zdania. Spór jeszcze nie zakończony. I jeden i drugi ma poważne argumenty za sobą. I jeden i drugi ma wielu stronników. I jeden i drugi żałuje już podobno, że zajął tak skrajne stanowisko. Rokowania w toku. Kasa po stronie prof. Niewiadomskiego. To zdaje się najsilniejszy argument.

W horrendalnym kłopocie jest p. prezydent Michalski z powodu t. zw. oszustwa wodociągowego w hotelu „Zorża“. W nieobecności pp. Brzezickich którzy byli w Karlsbadzie, „odkryto“ oszustwo wodociągowe, uderzono w wielki bęben, a nawet oddano całą sprawę prokuratoryi państwa. Brzezicki przerwał kuracyę, wrócił do Lwowa i wyjaśnił całą sprawę. Oto pokazuje się, że nie było żadnego oszustwa, że inżynier magistratu sam przeprowadził połączenie studni w podwórzu hotelowem z wodociągową rurą i że magistrat na to pozwolił. Teraz p. Michalski już i tak rumiany, jeszcze bardziej się rumieni. Co z tym fantem robić? Prowadzić dalej śledztwo? Niema o co. Zastanowić śledztwo? Wyjdzie na jaw panujące w magistracie bezhołowie. Całe prezydyum w kłopocie. A tu z drugiej strony Brzezicki domaga się ukończenia śledztwa, aby jego prawda wyszła... Już wyszła... Na samym początku prezydenckiej karyery, ma p. Michalski taką nieprzyjemność... a całą winę spycha się teraz na dyrektora wodociągów, który podobno pierwszy odkrył oszustwo.

Za to magistrat podwyższył pobory rakarzowi miejskiemu o 400 koron w uznaniu jego niepospolitych zasług około dobra mieszkańców i ich psów. Urząd rakarza nabierze dopiero teraz większego znaczenia, gdy z powodu drożyzny mięsa okaże się wkrótce potrzeba wprowadzenia w handel mięsa psiego.

Końskie mięso już zaczynają sprzedawać w specyalnych jatkach, a konie lwowskie tak strasznie biczowane wbrew postanowieniom statutu Towarzystwa ochrony zwierząt, już teraz cieszą się, że pójdą do jatek. Tylko, że jakoś ludzie z niedowierzaniem zabierają się do koniny i proszą, aby — jak dotąd — nazywano ją przynajmniej wołowiną, *Mundus vult....*

Ten los koński nie jest bynajmniej niespodzianką. Wobec kolei żelaznych, samochodów i rowerów, rola konia staje się coraz mniej ważną i prędzej czy później rozstrzygnąć się musi tragedya bytu koni, owo końskie „być albo nie być“ na ich niekorzyść. Ma się rozumieć, że mowa tu wyłącznie o koniach czworonożnych.

Największy wróg końskiego rodu, którego też boi się każdy umiejący patrzeć w przyszłość koń, nazwany raz na zawsze samochodem dlatego, że nigdy sam nie chodzi, doczekał się nareszcie regulaminu, obowiązującego w całej Austryi. Jestto niejako ustawa ramowa, w obrębie której gminy miast mogą wydawać miejscowe regulaminy. Monachijska „Jugend“ przyniosła niedawno dobry dowcip zatytułowany: „Bajka“. Był raz automobil, który nie robił hałasu, nie zostawiał za sobą fetoru, nie przejeżdżał nikogo i był zapłacony gotówką. Do tej „bajki“ można by dopisać, że ten automobil z bajki zważał na obowiązujący go regulamin jazdy.

Ale zostawmy to radnemu Czarneckiemu, który przecież znajdzie na to środek niezawodny a tym środkiem są u niego zawsze interpelacye. Nie masz na świecie takiej choroby, której nie podejmie się leczyć p. Czarnecki za pomocą interpelacyi na posiedzeniu rady. Obinterpelował już wszystko, co się dało, a chodząc na spacer lub sprzedając masło w swoim handlu na Łyczakowie, o niczem innem nie myśli jak tylko o przedmiotach interpelacyi. Pomysłowy prezydent Michalski, który na wszystko ma z góry przygotowaną odpowiedź, radnemu Czarneckiemu nieraz nie potrafi odpowiedzieć, tak bardzo go ten radny zapędza w kozi róg. Ażeby choć w części dopomódz p. Czarneckiemu w jego dziele i uratować mu trochę czasu dla jego handlu korzeni, podsuwam mu kilka ważnych à la Czarnecki interpelacyj *ad usum:* Czy pan prezydent wie o tem i co zamierza uczynić, ażby złemu zaradzić, że 1) przekupki lwowskie nie mają dla radnych należytego uszanowania i wogóle nie grzeszą dobrem wychowaniem, czego dowodem jest choćby ta okoliczność, że radnych miejskich tytułują „panie kupiec“ a nie „panie radco“. 2) że konie tramwajowe zachowują się na ulicy nieprzyzwoicie, zaniedbują swoje obowiązki, zwłaszcza odkąd dowiedziały się o zamierzonem wprowadzeniu mięsa końskiego w handel, 3) że psy i wogóle inni ludzie uciekają przed rakarzem miejskim tak, jakby on nie był urzędnikiem gminnym. 4) że rakarz miejski złapał bezprawnie psa należącego do pewnej pani będącej sąsiadką ciotecznego brata teściowej pana radnego Czarneckiego, 5) że policyanci zamiast rozbijać ludzi na pl. Bernadyńskim, chodzą na trzecie piętro do teatru, gdzie żony adwokatów, bankierów, profesorów, milionerów i radnych zmuszone są siedzieć w tem nieprzyjemnem towarzystwie.

Co do tej ostatniej interpelacyi, to już ją wniosł, a zamiast prezydenta ja w tem miejscu pozwolę sobie odpowiedzieć. Żony bankierów, profesorów, adwokatów i radnych mogą sobie pozwolić na droższe miejsca w parterze, lub na 1 i 2 piętrze, skoro nie chcą siedzieć w towarzystwie lwowskich policyjantów. Teatrowi radziłbym nawet wpuszczać bezpłatnie na każdą premierę bodaj kilkudziesięciu żołnierzy. Wtedy może nie przyjdzie nam nieraz patrzeć na haniebnie pustą salę przy równocześnie nabitem trzeciem piętrze, gdzie gromadzi się cała plutokracya lwowska. A jedwabne stroje trzeciego piętra zejdą do parterowych miejsc, które są przecież, zwłaszcza w pierwszych rzędach, dość tanie.

Nie mówię oczywiście o operowych przedstawieniach. Wobec niesłychanych, jak na Lwów gaż, musiano ceny wyśrubować. Są śpiewacy, którzy pobierają do tysiąca koron od występu. Na tych samych artystach zbankrutowały teatry warszawskie.... No, ale my Lwów.... bogate miasto! Spytajcie wiceprezydenta Korytowskiego.

Że we Lwowie nie trudno o pieniądze, tego dowodem następujące autentyczne zdarzenie.

Pewien myślący młodzieniec, to jest młodzieniec myślący ciągle nad tem, kogoby naciągnąć na parę „fajgli“, był już w tem położeniu, w którem się pisze listy pożegnalne do rodziny i kochanek, nie płaci się za mieszkanie, kpi się z krawców, szewców i innych t. zw. wierzycieli i myśli się tylko nad sposobem przebycia najkrótszej drogi do nieba. A szkoda, bo był przystojny, rosły, a na kształtnej główce miał bujny, piękny, czarny włos, którego mu zazdrościł niejeden łysy lub łysiejący pan. Był właśnie u narzeczonej, u prowizorycznej narzeczonej, która przyrzekła mu oddać rączkę, skoro tylko jakąkolwiek otrzyma posadę. Ba, ale we Lwowie łatwiej o kryminał.... Świadectw nie miał, protekcyi mało, umiał tylko pisać.... Nowele, wiersze, dramaty, listy — co bądź. A narzeczona zachwycała się niemi. Tylko redakcye jakoś nie drukowały, z braku miejsca podobno. Przyszedł więc do domu i zaczął pisać pożegnalne listy. Płakał, jak dziecko. Umrzeć — jak mówią — to wprawdzie piękna śmierć, ale nie w tym wieku. Wtem zapukał ktoś do drzwi. Otworzył drzwi. Przyszedł nowy wierzyciel, fryzyer.

— Przepraszam, ale ja nie po zapłatę przychodzę, ja panu jeszcze przynoszę pieniądze....

— Proszę bliżej, bardzo proszę.... czy to tylko nie kpiny?

— O, fryzyer i wynalazca Perukiewicz nigdy nie kpi. A więc do rzeczy. Jak panu wiadomo otwieram teraz małą fabrykę kosmetyków. Same własne wynalazki. Otóż jednym z moich wynalazków jest znakomita pomada na porost włosów. Powiadam panu, cud — posmarować kolano a włosy bujne wyrosną za miesiąc....

— Dobrze, ale ja mam dość bujne włosy, na cóż pan mnie to opowiada?

— Cierpliwości, łaskawy panie, zaraz powiem. Wiadomo panu, że dziś nic nie zrobi bez reklamy...

— A, więc żądasz pan wiersza....

— Broń Boże, tylko chwilkę cierpliwości. Otóż, jak powiedziałem, reklama grunt. Chodziłoby więc o drobnostkę, o dwie fotografie tejsamej osoby, na pierwszej fotografii jeszcze łysej, a więc przed działaniem mojej cudownej maści, na drugiej tasama głowa z bujnym włosem, a więc już po całomiesięcznem używaniu pomady.

— Nie rozumiem pana, przecież ja nie jestem łysy, wyszukaj pan łysego i smaruj mu pan głowę...

— Zaraz, zaraz, o, jaki pan niecierpliwy, dajże mi pan skończyć. Gdybym ja teraz zaczął szukać łysego i smarował go i czekał aż mu z tego włosy wyrosną, to ten mi gotów tymczasem umrzeć, a potem proszę pana względy konkurencyjne.... tego... owego, bo ma pan wiedzieć, że mój konkurent Brzytwiński dowiedział się o moim zamiarze i także zakłada fabrykę. Chodzi mi więc o szybkość.

— Dostaje pan odemnie 200 koron za swoją fotografię.... a raczej za dwie fotografie.

— Przecież nie jestem łysy...

— Nie szkodzi, i owszem. Pierwsze zdjęcie zrobimy tak, z włosami na głowie i nazwiemy je „po użyciu pomady“.

— A drugie?

— A drugie bez włosów... To się delikatnie zgoli, a pan przy tak pięknym zaroście odzyska do kilku tygodni ten sam włos — no zgoda?

— E.... nie....

— Za to panie dwieście koron w złocie... rzekł dumnie fryzyer pomysłowy, wyciągając portmonetkę..

Jeżeli ta portmonetka nie pokrzyżuje szyków dowcipnemu fryzyerowi, to wkrótce wyczytamy w inseratach: „5000 koron nagrody dla łysych? Obok zamieszczone dwie fotografie, mogą każdego przekonać, że nasz przemysł krajowy i t. d. i t. d... albo „Byłem łysy!“.. albo tłomaczenie: „Ich Anna Csilag“.... albo jeszcze co innego. *Klewe.*

Krwawe zajścia w Bernie morawskiem.

Niemcy dzisiejsi, szczycący się w głupiej pysze, że są „ein Edelvolk“, posunęli w ostatnich latach bezczelność swą do tego stopnia, że obudzili przeciw sobie nienawiść całego świata. W bucie i zaborczości prześcignęli nawet średniowiecznych Krzyżaków, których są nieodrodnymi potomkami. A ta ich buta wzmaga się, zwłaszcza w Austryi z dniem każdym. Po zajściach w Insbruku i Lublanie, po wybrykach niemieckich w Opawie i Cieszynie, nastąpiła brutalna prowokacya ze strony Niemców w Bernie morawskiem, które też w ubiegłą niedzielę i poniedziałek było widownią burzliwych scen ulicznych.

Niemcy morawscy zwołali na sobotę wielki wiec narodowo-niemiecki, celem zaprotestowania przeciwko założeniu czeskiego uniwersytetu na Morawach i zaprosili nań wszystkich niemieckich posłów z Rady państwa. Wiec ten miał być potężną manifestacyą jedności Niemców w walce ze słowiańskimi narodami Austryi. Magistrat berneński przystroił miasto w sposób demonstracyjny, bramami tryumfalnemi, festonami, sztandarami i prowokującymi Czechów napisami. Sam wiec był zresztą prowokacyą Czechów, gdyż ich żądanie, aby im dano drugi uniwersytet i to na Morawach, jest najsłuszniejsze w świecie. Czesi więc zwołali również wiec narodowo-czeski, na tensam dzień. Jasna rzecz, że ludność czeska stolicy Moraw, nie mogła pozostać obojętną wobec demonstracyjnego i wprost prowokacyjnego charakteru wiecu niemieckiego. Samo już przystrojenie miasta w emblemata niemczyzny, musiało ją podrażnić, a Niemcy, nie poprzestając na tem, urządzili jeszcze pochody przez miasto, przemowy z balkonów i t. d. Więc też ludność czeska w dobitny sposób dawała tu i ówdzie wyraz swojemu oburzeniu, ale do walk ulicznych nie byłoby przyszło, gdyby nie niemiecka policya berneńska. Wskutek prowokacyi policyi, Czesi wybili mnóstwo szyb w gmachach niemieckich i poturbowali sporą liczbę Niemców. Niedziela minęła jeszcze względnie spokojnie, w poniedziałek dopiero zarekwirowano wojsko. Podczas rozruchów wojsko uderzyło na demonstrujących Czechów, przyczem jeden Czech, Pawlik, otrzymał ciężką ranę i w kilka godzin potem umarł. To rozjątrzyło tak Czechów, że postanowili się zemścić. Przychodziło więc przez cały dzień do zaciętych walk między Czechami a Niemcami. W pogrzebie Pawlika wzięło udział przeszło 20000 ludzi, i cały ten tłum ruszył potem przed czeską „Besedę“, a stamtąd ku rynkowi, gdzie właśnie było mnóstwo Niemców. Wśród Niemców powstała panika, tłum zaś Czechów zwrócił się ku dwom lokalom niemieckim, na księgarnię Winblera i kawiarnię Tonethof. Oba te lokale zupełnie zdemolowano. Rozruchy trwały do wieczora, a kres im położyło dopiero wojsko, które postępowało z niesłychaną brutalnością. Przed kościołem św. Jakóba żandarmi dali ognia do demonstrantów i zranili kilkanaście osób. Ogółem rannych po obu stronach jest dużo. Zajścia te odbiły się głośnem echem w Radzie państwa.



Fałszerze pieniędzy: Aresztowany w Krakowie Teofil Brykczyński. (Treść na str. 13).

Nowy środek przeciw gruźlicy.

Niejednokrotnie już głosili różni szarlatani, że odkryli niezawodny środek przeciw gruźlicy, środki te jednak, jak dotąd, zawsze okazywały się bezwartościowymi. Każda jednak wiadomość o nowym sposobie leczenia gruźlicy wywoływała w całym świecie żywe poruszenie. Można śmiało powiedzieć, że ludzkość cała z utęsknieniem oczekiwała zawsze jakiego zbawcy, któryby zdołał ją uwolnić od jednej z najbardziej zabójczych, a dzisiaj tak rozpowszechnionej choroby, od gruźlicy, która codziennie pożera setki ofiar, po większej części ludzi młodych, w kwiecie wieku. Gruźlica, przeciw której do dziśdnia niema środka leczniczego, jest chorobą, która w skutkach swoich jest tak straszną jak epidemia, z tą różnicą, że epidemia ta rozpowszechnioną jest na całym świecie. I, zaiste, prawdziwym zbawcą ludzkości będzie człowiek, który wynajdzie sposób na jej leczenie.

W ubiegłym tygodniu obradował w Paryżu kongres tuberkuliczny. Sensacyą obrad był zapowiedziany przed miesiącem odczyt znakomitego lekarza i uczonego, profesora Behringa, wynalazcy surowicy przeciw dyfteryi, odczyt o środku leczniczym przeciw gruźlicy, wynalezionym przez Behringa. Sam fakt, że środek ten wynalazł prof. Behring, będący w świecie lekarskim powagą, wykluczał możliwość szarlataneryi. Odczyt obudził więc kolosalne zainteresowanie nietylko wśród kół uczonych i lekarzy, ale i wśród szerokiej publiczności.

Prof. Behring wynalazł, jak twierdził w odczycie, substancyę, pochodzącą z trucizny tuberkulicznej. Opisał on szczegółowo skład tej substancyi, którą oznaczył literami T. G. i oświadczył, że na podstawie eksperymentów na zwierzętach ssących przyszedł do przekonania, że T. G. może być środkiem leczniczym przeciw gruźlicy, którego bez niebezpieczeństwa można używać w celach terapeutycznych u ludzi. Zakończył zaś apelem do uczonych, aby robili doświadczenia z tym jego środkiem.

Nie można dzisiaj nic stanowczego wyrzec w sprawie wartości substancyi antigruźliczej prof. Behringa. Trzeba będzie może lat całych jeszcze, zanim uczeni na podstawie doświadczeń wydadzą o nim sąd. W każdym razie jednak środek ten, choćby nie był zupełnie skutecznym, to jednak będzie już jednym krokiem dalej do wynalezienia środka doskonałego. A wynalezienie go będzie dla ludzkości, dziesiątkowanej przez gruźlicę, wielkiem dobrodziejstwem.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy na str. 17 portret prof. Behringa.



Strejk introligatorów we Lwowie: Grupa strejkujących robotników i robotnic introligatorskich. Fot. „Kordyan“. Lwów.

Strejk introligatorów.

Wybuchł we Lwowie w dniu 2 października strejk robotników i robotnic introligatorskich, domagających się od swych pracodawców lepszych warunków pracy. Strejk został zapowiedziany już w połowie września, w memoryale, który robotnicy przedstawili korporacyi, oraz poszczególnym majstrom introligatorskim. Memoryał, zawierający żądania polepszenia bytu robotników i robotnic introligatorskich, a obejmujący cały szereg punktów, zdążał przedewszystkiem do zrównoważenia i ujednostajnienia cen płacy w poszczególnych pracowniach, a rozklasyfikował robotników na kategorye, domagając się dla nich za 10-godzinny czas pracy od 15 do 22, względnie od 26 do 30 kor., a dla robotnic od 5 do 14 kor. tygodniowej płacy; prócz tego zażądali robotnicy zniesienia robót akordowych, 14 dniowego wypowiedzenia, założenia biura pośrednictwa pracy, oraz ograniczenia ilości uczniów, zatrudnionych w pracowniach, z tem, że uczniowie ci mają mieć ukończoną drugą klasę wydziałową, lub gimnazyalną, względnie realną.

Na żądania te, według ogólnej opinii bardzo skromne, odpowiedzieli majstrowie odmownie, wobec czego robotnicy po 14 dniach wstrzymali się od pracy i proklamowali strejk. Bierze w nim udział około 280 osób.

Rycina nasza przedstawia grupę strejkujących.

Z dni rzezi w Baku.

Najpiękniejsza część Rosyi południowej, Kaukaz, został w tym roku prawie doszczętnie zniszczony. Co kilka tygodni cała ta kraina stawała w płomieniach rewolucyi, skierowanej to przeciwko rządowi, to znowu przeciwko plemionom Kaukaz zamieszkującym, które się wzajemnie mordowały. Stolica Kaukazu, jedno z najbardziej przemysłowych miast w Rosyi, Baku legło prawie zupełnie w gruzach. Na ulicach Baku przelewała się bowiem obficie krew i Tatarów i Armeńczyków i Rosyan, zwłaszcza kozaków, wysłanych tam na stłumienie rewolucyi, którą sam rząd wywołał.

W poprzednim numerze zamieściliśmy szereg illustracyj, przedstawiających sceny z krwawych dni w Baku i omówiliśmy główne przyczyny rewolucyi, zwłaszcza zatargu między Armeńczykami a Tatarami. Trzeba dodać, że tak Armeńczycy jak i Ormianie byli doskonale uzbrojeni i posiadali



Zabójstwo Juliusza Kunitzera w Łodzi: Fotografia niewinnej ofiary terroru, śp. J. Kunitzera.

wyborowe karabiny najnowszego systemu. Fakt ten był długi czas niewytłómaczonym dla zagranicy. Dopiero po zamordowaniu gubernatora Kaukazu księcia Nadaszidze, rewolucyjny komitet armeński w odezwie, wydanej specyalnie w tym celu, ażeby Tatarom udowodnić, iż oni są tylko narzędziem w ręku rządu, wykazał, iż książę Nadaszidze, chcąc podburzyć Tatarów na Ormian, wydawał sam Tatarom karabiny wojskowe i wydał ich przeszło 10000. Zdaje się jednak, że cyfra ta jest znacznie większa, bo do dziś dnia znajdują podczas rewizyi u wszystkich Ormian i Tatarów broń, pochodzącą od rządu moskiewskiego. Armeńczycy sprowadzali ją potajemnie z zagranicy lub poprostu kupowali od czynowniczych oficerów rosyjskich. Rząd więc sam zaplątał się w matnię, z której mu nie łatwo będzie wybrnąć. Wzburzone namiętności nie dadzą się tak łatwo uspokoić, a obydwa narody, Tatarzy i Armeńczycy, dyszący wciąż jeszcze ku sobie nienawiścią, mogą bardzo łatwo powstać znowu i połączyć się razem przeciwko wspólnemu wrogowi. Widmo wojny domowej wisi ciągle nad Kaukazem.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze rycinę, przedstawiającą walkę Tatarów z kozakami na ulicach Baku. Jak widać, Tatarzy walczyli bronią palną.

Zabójstwo Juliusza Kunitzera w Łodzi.

Jest to smutny, ale niejednokrotnie już stwierdzony fakt, że w czasie rewolucyi, w czasie terroru zwłaszcza, giną z ręki dyszących zemstą mścicieli nietylko ludzie rzeczywiście winni, ale także ludzie najniewinniejsi. Wzburzone masy bardzo łatwo winią człowieka, który przypadkowo mógł im się narazić, a wiadomo, że zapalone chęcią zemsty tłumy nie czekają długo z wywarciem tej zemsty. Okazało się to tylekrotnie w czasie rewolucyi w Królestwie Polskiem, gdzie co chwila padał jakiś czynownik od kuli rewolwerowej, lub od bomby, rzuconej znienacka, ale pewnie i zawsze prawie ze skutkiem. Jednak ofiarą zemsty tłumów padł także niejeden człowiek zacny, który tym tłumom nic nie zawinił.

W ubiegłym tygodniu został zamordowany w tramwaju elektrycznym w Łodzi wybitny i znany w całem Królestwie przemysłowiec i działacz społeczny, Juliusz Kunitzer. Kiedy Kunitzer wychodził na platformę, aby się pożegnać z wysiadającymi na najbliższym przystanku przyjaciółmi, przystąpiło doń dwóch młodych ludzi i strzeliło trzy razy, trafiając go w samo serce. Zgon nastąpił natychmiast. Sprawcy zamachu

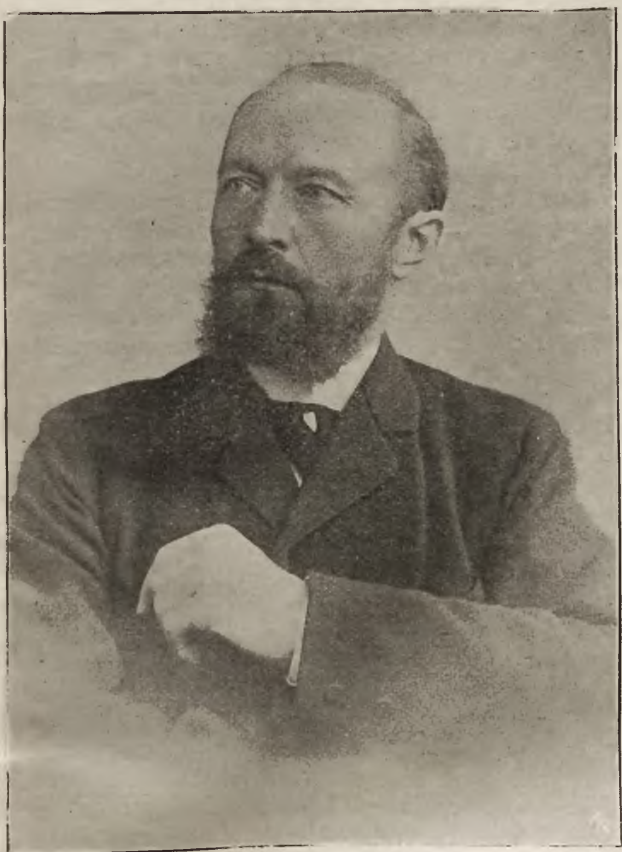


Krwawe zajścia w Bernie morawskiem: Policya berneńska z dobytymi pałaszami rozpędza Czechów, spędzając ich w boczne ulice. Po lewej stronie Czesi — po prawej Niemcy.

uciekli, jednego schwycono w ucieczce, drugiego dopiero po kilku dniach.

Ś. p. Juliusz Kunitzer składał niejednokrotne dowody, że jest dobrym obywatelem miasta i kraju. Z niemieckiej pochodził rodziny, ale uważał się za Polaka. Kiedy na pewnym zjeździe przemysłowców jeden z fabrykantów moskiewskich zarzucił mu, że jest Niemcem, Kunitzer odparł mu: „Nie. Jestem Polakiem; pod Kaliszem się urodziłem i w Polsce wychowałem“. W życiu publicznem w Łodzi brał bardzo czynny udział. Był radnym miejskim, członkiem wielu stowarzyszeń dobroczynnych i zawodowych. Dorobiwszy się milionów, używał ich chętnie na cele publiczne. W swej wielkiej fabryce wyrobów bawełnianych w Widzewie pod Łodzią zatrudniał z górą 10.000 robotników. On też jeden z pierwszych zaczął przyjmować do swej fabryki praktykantów Polaków, którym dawał posady inżynierów i majstrów. Poważany i lubiany powszechnie w Łodzi, pozostawił po sobie szczery żal po stracie człowieka, który mógł jeszcze wiele zdziałać dla miasta, tem bardziej, że był on upatrzony jako kandydat kompromisowy na przedstawiciela miasta Łodzi w Dumie. Zmarł w 61 roku życia.

Zamieszczamy obok fotografię niewinnej ofiary terroru.



Nowy środek przeciw gruźlicy: Prof. Behring, wynalazca nowego środka przeciw gruźlicy.



Królowa bez ziemi: Była królowa Madagaskaru, Ranavallo Maniaka III, ze swą siostrzenicą i jej guwernantką, w swem mieszkaniu w Paryżu.

Królowa bez ziemi.

Zły los nie jest wyłącznie udziałem ludzi biednych; nieszczęście spada taksamo na chłopka w sukmanie, jak i na władcę w koronie, jakby na stwierdzenie zdania, że wszyscy ludzie są sobie równi. Niejeden z panujących, o którym wszyscy myślą, że żyje w rozkoszach i nie wie, co to jest cierpienie i niedola, jest czasem biedniejszy, aniżeli kmiotek na wsi, który przyzwyczajony do małego, poprzestaje na na małem. Godnem pożałowania np. jest zaiste, los władców, którym zawistna przemoc wrogów wydarła tron i panowanie, a skazała ich na tułacze życie.

Do takich władców, których najdotkliwiej dotknęło nieszczęście, należy i zdetronizowana w roku



Krwawe zajścia w Bernie morawskiem: Dragoni na koniach wpadają pomiędzy zebranych przed pomnikiem cesarza Józefa Czechów.

1895 przez Francuzów królowa Madagaskaru Ranavalo Maniaka III. Nieszczęśliwa królowa podczas swoich rządów na pięknej wyspie ojczystej była prawie nieznaną dla świata. Dopiero kiedy zaborcze wojska francuskie wkroczyły do Madagastaru i poczęły toczyć wojnę, królowa Ranavalo wystąpiła na widownię dziejów. Nie chcąc napróżno przelewać krwi nieszczęsnych swoich poddanych, którzy tak czy tak, wcześniej czy później, musieliby byli uledz przewadze Francuzów doskonale uzbrojonych, zwróciła się sama do Francuzów z propozycyą pokoju. Francuzi propozycyę przyjęli, ale podyktowali jej warunki tak upokarzające, że nie wierzono w możliwość przyjęcia tych warunków przez królowę. Ale Ranavalo je przyjęła i poszła na wygnanie, zrzekłszy się wszelkich pretensyi do tronu. Na miejsce pobytu wyznaczono jej Kairo, gdzie żyła za skromne pieniądze, udzielane jej przez rząd francuski, jako wygnanka.

W ubiegłym tygodniu pojawiła się Ranavalo w Paryżu. Rząd bowiem obecny, pozwolił jej opuścić Kairo, aby jej osłodzić chwile niedoli. Przybyła więc Ranavalo do stolicy swych wrogów, którzy ją tronu pozbawili i zamieszkała wraz ze swą siostrzenicą i dwoma służebnemi w skromnym mieszczańskim pensyonacie przy ulicy Saint-Germania. Zajmuje ona tam pięć pokoi, umeblowanych bardzo skromnie, ale powiada, że czuje się zupełnie zadowoloną. Tak przynajmniej piszą dzienniki francuskie.

Zamieszczona obok rycina przedstawia nieszczęśliwą królowę wygnankę, w jej mieszkaniu w Paryżu.

Zygzakiem.

Ś. p. powszechne głosowanie. – Polne rozboje bezimiennej hołoty z psami pod wodzą Klaunna i Windischgrätza. – Interesująca pogadanka barona Gautscha z krakowską deputacyą „wawelową“.

Pogrzebaliśmy szczęśliwie w austryackim parlamencie powszechne, równe prawo głosowania, wkrótce po urodzinach tego niemowlęcia. Było ono wprawdzie odrazu niezdolne do życia z powodu złego pokarmu jego matki, wytwarzającego się z różnorodnych pierwiastków narodowościowo-klimatycznych, jednak przecie się zdawało, że pożyje dłużej, naciesz widokiem austryackiego słońca, który o tyle jest przyjemny, że dotychczas nie został jeszcze w żadnej formie opodatkowany.

Pisząc już raz w tej rubryce o chorobie pani Austryi, wspominałem o bliskich urodzinach bliźniaków: ugody węgierskiej i powszechnego głosowania. Pierwszy bliźniaczek przyszedł na świat nieżywy, w połowie zielony, w połowie czarny, które to barwy znajdują się wprawdzie w herbach obydwu połów monarchii, mimo to żywotności noworodkowi brakło, gdyż brakło mu dalszych kolorów: czerwonego i białego, jako węgierskich, oraz drugiego koloru austryackiego, t. j. żółtego, gdyż noworodek nie miał czasu na ten kolor, bo wcale nie żył na tym świecie. Pani Austrya postanowiła odrazu zastąpić go dzieckiem adoptowanem, które ma się chować na Węgrzech i nazywać powszechnem głosowaniem. Zaraz też rozpoczęła pomrukiwania za tym ananasem.

Drugi bliźniaczek — „powszechne głosowanie austryackie“, przyszedł wprawdzie na świat żywy, ale aż litość brała patrzeć na to biedactwo. Skrofuły, dziedziczna epilepsya i zwyrodnienie zmysłowe, bolący wyprysk narodowościowy, wszystko to były zapowiedzi krótkiego życia. Niemowlę miało pielęgnacyę niesłychaną. Opiekunką jego był klub socyalno-demokratyczny, który z wyszukaną pieczołowitością grzał, chuchał, dmuchał, pieścił biedactwo, żeby wzmocnić w nim kiepskie życie, dane mu w lichej dozie przez słabą jego matkę, histeryczkę. Wszystko napróżno... Dziecię zmarło, ochrzczone tylko z wody długich mów parlamentarnych. Ceremonia pogrzebowa odbyła się okazale, a zajęła się nią głównie stara pokojowa, Koło polskie. Mowę pogrzebową wygłosił najzna komitszy na tym świecie mąż stanu, Wojciech Dzieduszycki, mąż, który w rozumie i lojalności samemu tylko Górskiemu ustępuje. Była to mowa pełna bardzo głębokich, niedocieczonych dla słuchaczy idei politycznych i pełna żałobnych jęków, stosownych do uroczystości. Mowca wspominał najpierw o pierwszym noworodku, którego, jako nieżywego, wyrzucono odrazu do budujących się kanałów. Mowca w dłuższym wstępie zastanawiał się nad pytaniem, dokąd udała się dusza tego niemowlęcia. Potem mówił o zmarłym i wyraził nadzieję, że pani Austrya zdobędzie się później na coś lepszego. „Nie czas jeszcze był na to dziecię, skoro dotąd nie ustały spory narodowościowe, skoro nam w Galicyi nie zabezpieczono w odpowiedni sposób mandatów i relutum w propinacyi i skoro, dzięki Bogu, chowają się nam inne, stare feudalne i kastowe dzieci.“

Żałobny orzak prowadził kardynał od austryackiego *Veto*, muzyka czesko-niemiecka grała polskiego marsza pogrzebowego, przedsiębiorcą pogrzebowym był gabinet austryacki, a symboliczną żałobną niewiastą, która z lilią w ręku kroczyła za karawanem, była panna Sulima, dostarczona w tym celu do Wiednia przez redakcyę „Czasu“ na podstawie dawniejszych jej zasług i wspomnień. Koszta podróży panny Sulimy pokryto z tych funduszów powiatowej Kasy oszczędności w Krakowie, które stanowią podręczną kasę pp. Mikuckiego i Solskiego, bez rachunku i bez odpowiedzialności.

A kiedy w stolicy państwa odbywał się tak smutny obrzęd pogrzebowy, u nas w Galicyi bawiono się bardzo wesoło. Nie robiono sobie nawet wiele z gęstego deszczu orderów, który spadł w tym czasie, atoli ani niebu, ani ziemi nie zaszkodziło. Byłoby trudno wyliczyć wszystkie zabawy, wspomnę tylko o najpiękniejszej, a mianowicie o polowaniach hołoty pod firmą „Klaunn i Windischgrätz“.

W Rakowicach, pod Krakowem, tam, kędy śpią snem wiecznym lojalni c. k. obywatele naszej drogiej ojczyzny, Austryi, mieszka banda junaków, pasożytów, czy nicponiów, którzy czas zabijają w ten sposób, że po polach przyległych gmin urządzają polowania z ogarami. Jeden z tych hultajów, Klaunn, czy też Windischgrätz, trzyma sforę ze 40 ogarów, tak, jakby siedział na stepach, wyprowadza ją na zasiane i uprawione pola i zaczynają się harce. Widok jest wspaniały... Ciężka praca opodatkowanego chłopa lub właściciela wioski leci z kurzem za sforą pierwszych psów, tropiących zwierzynę i za kopytami końskimi drugich pod firmą Klaunn i spółka.

Pięć gmin krakowskich i dwóch właścicieli dóbr z okolicy, od dłuższego czasu zanoszą błagalne prośby do krakowskiego starostwa, aby położyło kres bezczelnemu, iście średniowiecznemu rozbojowi. Uczciwi urzędnicy starostwa krakowskiego chcieli już dawno zabrać się energicznie do tej bandy, atoli pan delegat Fedorowicz tłumi sprawę, skazuje tylko Klaunna i spółkę na śmiesznie małe pieniężne grzywny, z których drwią sobie „panicze“ i uprawiają dalej swoje myśliwstwo z ogarami. Wartogłowy z bandy Klaunn, Windischgrätz i spółka są jeszcze na tyle bezczelni i pewni bezkarności, że jeżeli właściciel zniszczonych zbiorów upomina się o swe prawa, albo chce im przeszkodzić w zabawie, najeżdżają go końmi i grożą mu obiciem szpicrutami. Cóż, czy nie ładna, nie rycerska zabawa? Jakże silnem jest państwo, w którem w takich harcach zaprawia się odwaga „obrońców ojczyzny“, jak miło pomyśleć, że na czele krakowskiego powiatu stoi taki rycerski, elegancki protektor krzywdy chłopskiego mienia w osobie p. Fedorowicza!

Na zakończenie dzisiejszego „zygzaku“ nie mogę pominąć milczeniem wspaniałych zdobyczy, jakie osiągnęła krakowska deputacya „wawelowa“ we Wiedniu. Geneza tej deputacyi jest taka, że grono radców krakowskich, pragnąc przewietrzyć się na koszt mieszkańców miasta Krakowa, postanowiło udać się do Wiednia pociągiem pospiesznym pierwszą klasą, aby podziękować za to, że kraj kupił sobie Wawel, starą własność narodu polskiego, za drogie pieniądze.

W skład deputacyi wchodzili pp.: Leo, Doboszyński, Federowicz (poseł i winiarz), Kosobudzki, prof. Rosenblatt, Staniszewski, dr. Tilles i inni. Poufnym sekretarzem deputacyi był p. Piotr Górski. Niewytłomaczoną zagadką jest, dlaczego nie było p. Michała Chylińskiego, znanego specyalisty do wszelkich deputacyi. Zanim deputacya dostała się do właściwego miejsca, p. Piotr Górski utorował jej drogę przez liczne przedpokoje do „oberprzedpokoju“ barona Gautscha, znanej akuszerki pani Austryi, a to celem zaznajomienia ze sobą znakomitych ludzi. Albowiem z takich znajomości płyną zawsze wielkie korzyści duchowe i materyalne, a z wymiany idei rosną różne nowe uszczęśliwienia dla ludów.

P. Gautsch ucieszył się ogromnie z widzenia „dawno niewidzianych“, zapytał się co słychać, poczem, skinąwszy na Piotra Górskiego, żeby mu podał stołeczek pod nogi, zaczął ożywioną rozmowę z członkami deputacyi, którą na wieczną rzeczy pamiątkę, wedle notatek Piotra Górskiego wiernie podaję.

Najpierw zwrócił się p. Gautsch do p. Leo i rzecze:

— Winszuję panu, że pan tak szczęśliwie i honorowo przeprowadził wybory do Rady gminnej i wybór p. Solskiego na dyrektora teatru w porozumieniu z „Opatrznością“!

P. Leo: Ja tylko robię co mogę, ekscelencyo, ale za to ekscelencya jesteś najlepszym prezydentem ministrów w Austryi.

Do radcy p. Doboszyńskiego:

Gantsch: Czy pańska klacz wyścigowa, Miss Burton cieszy się dobrem zdrowiem?

Doboszyński: Klacz moja zmarła w młodym wieku z tęsknoty za „metą“, ale za to my Polacy byliśmy zawsze zwolennikami przyzwoitych form parlamentarnych.

Do prof. Rosenblatta:

Gautsch: Cieszy mnie, że sprawa z Przeworskim tak nadspodziewanie korzystnie dla pana wypadła. Spodziewam się, że i następstwa przykrego wydarzenia na plantach już ustąpiły?

Rosenblatt: Dziękuję ekscelencyi, już wszystko ustąpiło; zostało mi wprawdzie jeszcze uczucie przestrachu, ale mam nadzieję, że pod znakomitemi rządami waszej ekscelencyi i to przeminie.

Do radcy p. Kosobudzkiego:

Gautsch: Jak długo pan siedzisz w Radzie?

Radca Kosobudzki nie zrozumiał dobrze pytania w języku niemieckim postawionego, zaczerwienił się, odsapnął i odpowiedział:

— Ekscelencyo, to jakaś pomyłka, ja jeszcze dotychczas nigdy nie siedziałem.

Radcę Staniszewskiego pytał p. Gautsch, czy jest zadowolony z nowego pomieszkania w gmachu Kasy oszczędności, czy mu się tam dobrze powodzi i jaki jest stan wkładek w kasie.

Dyr. Staniszewski: Powodzi mi się nieźle, mam trochę więcej czasu i wyjeżdżam niekiedy na polowanie z moją starą strzelbą. Stanu wkładek wprawdzie nie znam, ale za to na równi ze wszystkimi mieszkańcami Krakowa czuję niewypowiedzianą wdzięczność za darowiznę Wawelu.

Do radcy dra Tillesa:

Gautsch: Jakie są stosunki w krakowskiej radzie wyznaniowej.

Tilles: Przeważnie bezwyznaniowe, ale co do wyborów jesteśmy zawsze gotowi w myśl życzeń waszej ekscelencyi.

Do radcy p. Federowicza:

Gautsch: Czy pan często bywasz na posiedzeniach sejmu?

Federowicz: O ile mi tylko czas pozwoli, ekscelencyo...

Gautsch: Cieszę się, że fabrykacya wina w pańskich piwnicach pomyślnie się rozwija.

Federowicz: Staram się ekscelencyo, wedle sił moich przyczynić się do rozwoju przemysłu, a przez to do postępu naszej ukochanej Austryi.

Po tej urzędowej rozmowie wszczęła się poufna pogadanka, przy której opowiadano sobie różne wesołe „witze“ z dziedziny erotycznej.

Kraj oczekuje znamienitych korzyści zarówno z tej urzędowej, jak i prywatnej dyskusyi.

Vide.

Kącik humorystyczny.

Zrozumieli się.

Ona: Dlaczego pan mnie więcej znać nie chce?
On: Dlatego, że już za dobrze panią znam.

Takie proste.

— Nie rozumiem, jak możesz zachwycać się twoją Ziutą? Ma przecież takie brzydkie ręce.

— Wyobraź sobie, nie zauważyłem tego; ciągle trzyma ręce w mojej kieszeni.

Kobieta i obraz.

Kobieta i obraz mają dużo cech wspólnych:

Kobieta i obraz potrzebują farby, z tą różnicą, że stary obraz jest bardzo cenny, a stara kobieta nikogo nie interesuje.

*

Za ładny obraz i ładną kobietę protektorzy „sztuki“ płacą duże sumy, ponieważ kobieta i obraz często się sprzedają.

*

Niektórzy mizantropi żałują, że kobiety nie można, jak obraz „powiesić“...

Ogłoszenie.

„Zabłąkała się zielona papuga. Poszkodowanego proszę o rychłe odebranie, gdyż gorzej mi wymyśla, niż moja żona. Pantofelski, kapitalista“.

Teatromani.

— Który teatr, wedle pana, jest najgorszy?
— Teatr wojny.



„Terakoja“, dramat japoński w 1 akcie Takeda Izumo, przełożył Jerzy Żuławski. „Sawantki“, komedya w 5 aktach Moliera, tłómaczył Lucyan Rydel. (Premiera z dnia 7 października br.)

Wieczór ten był jednym z lepszych w naszym teatrze z powodu doboru sztuk, z których jedna jakby głos z tajemniczej nieznanej krainy, druga jakby wspomnienie umarłej, dawno nie budzonej przeszłości — składały się na wrażenia nowe i niepowszednie.

I wykonanie sztuk na ogół lepsze było niż zwykle, jakkolwiek i tym razem zwłaszcza w „Sawantkach“ ujawniły się bądź braki w personalu, bądź wadliwa odsada. Złe obsadzanie sztuk – jest dowodem, że p. Solski, który sam dzięki swej intuicyi, jest doskonałym aktorem, nie posiada wysokich zalet reżyserskich, cechujących wybitną inteligencyę p. Pawlikowskiego. P. Solski powinien więc w sprawie obsady porozumiewać się z inteligentniejszymi artystami, jak pp. Sosnowski, Walewski, Zelwerowicz, a jestem przekonany, że w takim razie np. „Sawantki“ byłyby szczęśliwie ominęły takiej obsady, jak p. Sulima w roli Armandy, lub p. Modzelewska w roli Martyny. Ta ostatnia była, być może, fałszywie informowana, a zatem nie jej wina.

„Sawantki“ należą do celniejszych dzieł genialnego Moliera. Jestto satyra na fałszywą ambicyę kobiet, które chcą pozować na uczoność oczywiście czczą, frazeologiczną, salonową, kłamliwą. Kobiet takich i dzisiaj jest mnóstwo, a wychodzą te nieznośne figury z rozmaitych francusko-fortepianowych pensyonatów. Tak jak za Moliera, zatruwają takie istoty pozą i blagą towarzyskie życie i zmuszają swoje otoczenie do takich samych czczych i banalnych kłamstw konwencyonalnych. Treść komedyi zawarta w jej tytule. Bajka zaś jest prosta, jak wszystkie u Moliera. Akcya rozgrywa się na tle codziennego życia wśród wydarzeń powszednich. Nie zajmują nas te wydarzenia, bo całą uwagę naszą skupiają na sobie i pochłaniają molierowscy ludzie, żywi, określeni, każdy całość w sobie i dla siebie.

Wystawa sztuki była bardzo staranna, a niektórzy artyści grali wprost znakomicie. Prym wiódł p. Solski w roli Trissotina, obok niego p. Zelwerowicz w roli Chryzala.

W roli Filominty wystąpiła po raz pierwszy p. Stanisława Słubicka i odrazu zdobyła uznanie publiczności. Postawa, głos, duża sceniczna rutyna, ładna dykcya — słowem, artystka w całem tego słowa znaczeniu.

P. Modzelewska, która grała molierowską subretkę, zrobiła z niej gburowatą kucharkę z Modlnicy i była dyssonansem w tej sztuce. Jeżeli takie pojęcie tej roli było wynikiem informacyi tłómacza sztuki p. Rydla, coby ze sposobu tłómaczenia wnosić należało, to oczywiście pomysł ten, krzywiący styl Moliera, nie ma żadnego sensu. Szkoda, że p. Modzelewskiej nie kazano się jeszcze ubrać... po wiejsku. Wszystkie te drobne usterki są jednak niczem wobec wprost ohydnej gry p. Sulimy. Nieznośna maniera, pozy, sztuczny głos, ciągła złość licho wie na kogo i dlaczego, wszystko razem składało się wprost na karykaturę, która może zachwycać redaktora „Czasu“, ale nie publiczność teatralną. Dziwię się p. Solskiemu, że musiał pozbyć się sił wybitnych i niezastąpionych, a nie miał odwagi zerwać z p. Sulimą.

„Terakoja“, dramat japoński, znany jest publiczności naszej ze sceny teatru ludowego, gdzie wcale dobrze był grany i wystawiony. Apoteoza wierności sługi dla pana. Sługa ten, aby ratować dziecko pana, ścigane przez siepaków wroga, poświęca i na śmierć oddaje własne dziewięcioletnie dziecię, które o tem wie i z rezygnacyą na zgon idzie.

Sztuka jest pod względem budowy scenicznej arcydziełem. Zdumiewa wprost mała ilość słów w stosunku do wydarzeń. Wrażenie też jest głębokie, ale przemija z zapadnięciem kurtyny. Bo, cóż to za matka, która odprowadza na zgubę ukochane dziecko, nie próbując nawet choćby podstępem je uratować? Wszakże ten naturalny instynkt leży w każdem uczuciu macierzyńskiem. Wogóle ma się wrażenie, że odbyła się straszna ofiara bezpotrzebnie.

Gra artystów była wyborna. Przedewszystkiem pp. Sosnowski i Solski oraz pani Arkawin. Z dzieci p. Helena Czechowska w roli księcia Szuraja zasługuje na szczególną pochwałę. Prolog p. Żuławskiego jest tak ciężki i bałamutny, że można go bez najmniejszej straty odesłać autorowi. Dziwię się, że p. Żuławski nie umiał napisać prologu, któryby był zrozumiały dla publiczności. *Oświk.*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

20 (Ciąg dalszy).

Pierwszy brzask słońca przebudził Helenę, która, dumając nad swym losem, nad swą przyszłością i wiadomościami o strasznej przeszłości, jakie otrzymała od starego Najperta, usnęła była zmęczona, nie rozbierając się nawet wcale.

Młoda Amerykanka podniosła się ociężale i powoli zaczęła zbierać myśli, grupować je i układać w całokształt, a przychodziło jej to niezmiernie ciężko, bo za wiele wrażeń przeszło dnia poprzedniego przez jej młodą, niedoświadczoną duszę.

Lecz gdy stanął jej przed oczyma cały ten straszny obraz, jaki jej przedstawił stary Najpert, gdy zrozumiała, kim jest ten stryj Franciszek i jej opiekun doktor Harras, powiedziała sobie, że ostatnią noc spędziła w tym domu. Nie pomyślała jednak, że niema żadnych przyjaciół, że znikąd nie może spodziewać się pomocy i że całą swoją gotówkę oddała gospodyni starca, bez której myśl o ucieczce była wprost niewykonalną, lecz marzyła tylko o tem, jakby wyrwać się z pośród tych ludzi, których znienawidziła, na których spojrzeć nie była w stanie.

Tymczasem kilkakrotnie pukano już do jej drzwi, dobijano się nawet, ale ona nie otwierała, nie odzywała się nawet wcale.

Najpierw pukała pokojówka, która przyszła zapytać się, czy śniadanie będzie jeść w swoim pokoju, potem posłyszała przytłumiony głos Albertyny. Dziewczę szeptało, że ma jej coś ważnego powiedzieć i prosiło, by ją wpuściła, ale Helena pozostała niewzruszoną.

Dobijanie się ustało na chwilę, ale niebawem ktoś znów zaczął pukać i usłyszała całkiem nieznajomy głos za drzwiami.

— Mam list dla panny Heleny Springer! — mówił jakiś mężczyzna głębokim basem. – Ten list mam oddać tylko do rąk własnych, więc może mi panienka zechce otworzyć!..

Helena wahała się, ale krótko. Dwie osoby mogły tylko pisać do niej: stary Najpert, który może chciał jeszcze objaśnić ją w jakiejś sprawie, dotyczącej wczorajszego opowiadania, albo Fred Archer, który do tej pory nie odpisał na jej list, chociaż termin odpowiedzi, jakiej się od niego spodziewała, przeminął już bardzo dawno. Z bijącem sercem otworzyła drzwi i wzięła list od jakiegoś nieznanego człowieka, poczem zaryglowała się na nowo i rzuciła okiem na adres. Wyraz rozczarowania odmalował się na jej bladej twarzyczce. To nie był charakter pisma Archera! Rzuciła z niecierpliwością tajemniczy list na stół i długą chwilę spoglądała nań w milczeniu. W końcu jednak wzięła go drżącą ręką, rozerwała kopertę i poczęła czytać. Zrazu nie zrozumiała niczego, nie domyślała się, o co chodzi, w oczach zaczęło się jej mienić i dopiero, gdy pokonała siłą woli wzruszenie, odczytała następujące słowa:

„Moja kochana kuzynko! Przed paru dniami oświadczyłem ci gotowość mojej pomocy i zastrzegłem się, że czynię to tylko z czystej przyjaźni. Nie wiem, czy uwierzyłaś mym zapewnieniom i jeśli nie możesz zdecydować się, czy masz mnie obdarzyć swem zaufaniem, to doprawdy nie wiem, co zrobić, aby czynem dowieść ci, że jestem tego godny, że na zaufanie twe w zupełności zasługuję. Jeśli jednak powoduje tobą tylko obawa, aby z twego powodu nie przyszło do kłótni między mną a rodzicami, to dowiedz się, że zerwałem z nimi raz na zawsze, a dlaczego, o tem nie będę wspominać, bo możeby to było dla ciebie zanadto przykre! Niech ci to wystarczy, gdy nadmienię, że i o tobie była mowa, że otwarcie domagałem się, aby pozwolono powrócić ci do ojczyzny, hen tam za szeroki ocean. Spotkała mnie stanowcza odmowna odpowiedź, a ja nie mogę dłużej ścierpieć widoku twojej tak niezasłużonej męki. Za nimi jednak jest twarde, nieubłagane prawo, na którem śmiało mogą się oprzeć. Pozostaje zatem jedna tylko droga, ucieczka i jeśli chcesz obdarzyć mnie swem zaufaniem, to gotów jestem dopomódz ci do niej i ułatwić dostanie się na okręt, który przewiezie cię do Ameryki. Nie myśl i nie obawiaj się, aby to było połączone z jakąkolwiek ofiarą z mej strony i żeby mnie potem miały spotkać jakieś przykre skutki. Ja jestem już pełnoletni i rozporządzam takim majątkiem, że liczyć nawet nie potrzebuję na spadek po ojcu. Skoro więc przyjmiesz moją propozycyę, to z zaufaniem, na jakie chyba zasługuję, powierz siebie mojej opiece. Właśnie dziś byłaby najsposobniejsza chwila do ucieczki, bo wieczorem rodzice i Albertyna są zaproszeni na jakąś zabawę, na którą się wszyscy wybierają. Nikt więc nie zauważyłby nawet, że opuściłaś ich dom na zawsze. Na rogu ulicy koło skweru ja sam będę cię oczekiwać punktualnie o ósmej w powozie, który nas przewiezie do bezpiecznego miejsca. Z rzeczy weź tylko najniezbędniejsze drobiazgi, bo na razie umieszczę cię u ubogiej, ale bardzo przyzwoitej rodziny i dopiero w parę dni, gdy się stryj i doktor Harras uspokoją, ruszymy do Hamburga lub do Bremy. Mam nadzieję, że pomoc moją przyjmiesz, zwłaszcza, że czujesz dobrze, jak ci tu daleko do szczęścia. W oczekiwaniu więc i z pełną ufnością, że się przed czasem nie zdradzisz, żegnam cię.

Twój szczerze oddany kuzyn
Cezar Springer“.

Helena raz po raz odczytywała ten dziwny list, którego nigdy nie spodziewała się otrzymać. Jeszcze wczoraj podobną propozycyę odrzuciłaby była bez wahania, ale teraz uważała to za cudowne zrządzenie Opatrzności, za jedyną drogę ratunku.

Pod pozorem, że jest cierpiącą, cały dzień nie opuszczała swojego pokoju. Stryjenka przez służącą kazała jej wyrazić swe współczucie i posłała jej obiad, który w dwie godziny później przyniosła pokojówka z powrotem nietknięty, bo Helena wolała ginąć z głodu, niż wziąć do ust kęs chleba ofiarowany jej przez kochanych krewnych. Popołudniu stryj kazał jej powiedzieć, żeby się zwracała wprost do służby, gdyby czegoś zapotrzebowała, bo oni wszyscy są zaproszeni i idą do znajomych na cały wieczór. Ta wiadomość, która potwierdziła poniekąd treść listu Cezara, wzmocniła postanowienie biednej sieroty.

O zmierzchu zjawiła się u drzwi jej pokoiku Albertyna i błagała Helenę, by ją wpuściła, bo musi pomówić z nią w interesie, który jest ważny i dotyczy ją osobiście, ale gdy sierota i teraz nie mogła odważyć się, aby otworzyć drzwi kuzynce, ta szepnęła jej stłumionym głosem przez dziurkę od klucza:

— Heleno! bój się Boga i pilnuj się dobrze, bo oni wszyscy coś strasznego knują przeciwko tobie!...

Helena, usłyszawszy to, roześmiała się gorzko. Że ci ludzie tylko coś złego mogli knuć przeciwko niej, o tem wiedziała aż nadto dobrze i ostrzeżenie Albertyny wprost przeciwnie podziałało na nią. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, jeśli czuła w sercu trwogę, to teraz znikło to wszystko, jak mgła za podmuchem wiatru. O siódmej wieczorem Springerowie z hukiem i hałasem opuścili dom. Helena stojąc w oknie, doskonale widziała, jak ojciec, matka i córka wsiedli do powozu i pojechali w stronę will fabrycznych.

Z całym spokojem Helena zebrała najpotrzebniejsze rzeczy do małej ręcznej walizki i z uderzeniem godziny ósmej, otulona w długi płaszcz zimowy, opuściła swój pokój.

Nikt jej nie widział, jak opuściła mieszkanie, nikt nie widział, jak wyszła na ulicę. Wolnym krokiem dziewczę przeszło sto kroków i zobaczyło, że istotnie koło skweru na rogu ulicy stoi parokonny powóz. Gdy podeszła bliżej, przystąpił do niej jakiś młody mężczyzna, w którym poznała swego kuzyna. Cezar przywitał ją bardzo grzecznie, ale zarazem powściągliwie, odebrał od niej walizkę, wsadził do powozu, siadł sam koło niej i krzyknął coś do woźnicy. Konie ruszyły jak wicher.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

STRASZNE CHWILE.

HUMORESKA.

Epidemia strejków, mnożących się z dnia na dzień, zdemoralizowała wszystkich wydziedziczonych. Przedwczoraj przyniósł nam telegraf wieść o zmowie urzędników pocztowych w Holandyi, wczoraj zaś w całej Francyi ustały jeździć tramwaje skutkiem zmowy woźniców. Gdym dziś jednak przyszedł do redakcyi, aby zamknąć poranny numer, gdy woźny doręczył mi nocne depesze, runąłem na ziemię jak długi. Leżę, wiję się w boleściach, jestestwo całe łka. Wchodzi do drukarni główny redaktor, patrzy się:

— Co? O tej porze wróciłeś pan od Hawełki?

— Ulituj się pan!

— Pewnie chce zaliczki! Niech was dyabli wezmą, pijaku jeden z drugim.

— Alež to straszne! To tragedya!

Redaktor spojrzał na telegramy, ściśnięte kurczowo w sinej mej ręce.

— Co panu jest?

— Umieram.

— Doktora?

— Nie. Daj mi pan środek wzmacniający działalność serca.

— Kropli laurowych?

— Nie.

— Eteru?

— Nie.

— Więc cóż panu dać?

— Wiśniowej, wzmocnionej białym rumem.

Dał mi redaktor żądanego płynu (nosi go zawsze przy sobie), poczem sam zaczął czytać depesze. Przeczytał i runął jak długi na ziemię. Leży, wije się w boleściach, całe jego jestestwo łka. Ja tymczasem potrafiłem zebrać siły i wstałem na nogi. Wziąłem z rąk jego depesze i dałem je zecerom. Chwycili je, przeczytali, padli na ziemię i płaczą. Wybiegłem na miasto, aby kupić beczkę wiśniówki, beczkę białego rumu. Trzeba wzmocnić działalność ich serca. Metrampaż leży na podłodze i woła, aby mu podano pistolet nabity wodą. Waryat. Mówiłem mu kilkakrotnie, aby sobie w łeb wypalił nie wodą, lecz spirytusem. Przecie szlachetniejszy trunek. Nie chce. Pragnie umrzeć. Wszyscy pragną umrzeć. W drukarni coś trzeszczy. Jakby kto wałkiem tarł siemie dla kanarków. To nie trzask ziarnek siemienia, to strzały, to ludzie sobie masami w łby strzelają. Z licznego personalu drukarni zostało dwóch zecerów. Ci zaczęli składać telegramy. Chce drukarz złożoną kliszę przetrzeć walcem z czernidłem, czernidło czcionek się nie chwyta, bo zwilżone jest potokiem łez. Redaktor dowlókł się do krzesła, ja razem z nim rewidujemy tekst straszliwych depesz.

Madryt. Wzburzenie powszechne. Włosy stają na głowie. Ze wszystkich stron Europy nadeszły depesze, że ludzkości grozi strejk monarchów.

Berlin. Ubrał się o dziewiątej w mundur swego pułku strzelców portugalskich i wygłosił pietnastotysięczną dwóchsetną mowę. Grozi w niej zaprzestaniem zajęć.

Londyn. Biuro Reutera ogłasza depesze dnia: Dziś zastanowili pracę wszyscy monarchowie świata. Żalą się na zbyt niskie listy cywilne i przeciążenie pracą. Żądania ich brzmią: apanaże podnieść o 100%, czas pracy skrócić do ośmiu godzin rocznie.

Rzym. Pokazuje się, że zmowa był oddawna umawiana. Od miesiąca już krążyły depesze szyfrowane między stolicami.

Berlin. Ubrał się o godzinie dziewiątej minut 4 w mundur swego pułku grenadyerów hiszpańskich, skonfiskowane wygłosił 15221 mowę skonfiskowane.

Konstantynopol. Abdul Hamid, który do ostatniej chwili opierał się namowom, przystąpił dziś do strejku. Krocie płaczącego ludu wyległy nad Bosforem, aby łkaniem uprosić władcę do wrócenia na tron. Sułtan bezwarunkowo odmówił.

Londyn. Ajencya Reutera donosi, że na całym świecie panuje cesarsko królewskie bezrobocie.

Berlin. O godzinie 9 minut 5, ubrał się w mundur swego pułku dragonów holederskich, skonfiskowane wygłosił skonfiskowane 18758 mowę skonfiskowane.

Reiz Schleiz Sonderhausen. Monarchini oświadczyła, że starała się o to usilnie, aby dać narodowi następcę tronu, wobec jednak czarnej niewdzięczności nihilistów, zaprzestaje od dziś dnia wysiłków.

Madryt. Kilku ludzi oszalało na myśl, co się teraz z ludzkością stanie.

Lucerna. Płacz tu powszechny. Żałoba w całej Szwajcaryi. Fakt strejku przypomniał ludowi szwajcarskiemu smutną jego dolę. Biedni ci ludzie nie mają wcale dynastyi.

Berlin. Skonfiskowane 9 minut 6, skonfiskowane w mundur swego pułku kirasyerów brazylijskich, skonfiskowane 642875 mowę, skonfiskowane.

Bruksela. Rozpacz granic niema. Ludzie chodzą po ulicach i płaczą. Zakupiono wszystkie okoliczne lasy, a trzy miliony obywateli oświadczyło kategorycznie, że jeśli Leopold na nowo na tron nie wstąpi, to wszyscy wywieszają się na sosnach co do nogi.

Reiz Schleiz Sonderhausen. Ludność idzie za przykładem Belgów. Dwustu obywateli się powiesiło, a ośmset strzeliło sobie w łeb, na myśl, że naród nie będzie miał następcy tronu.

Petersburg. Zarządzono modły publiczne o zażegnanie strejku.

Londyn. Biuro Reutera ogłasza uspokajający komunikat ze wszystkich stolic: Rokowania strejkowe przybierają pomyślny obrót.

Berlin. Skonfiskowane. Skonfiskowane. Skonfiskowane. 9 minut 7 skonfiskowane, mundur ułanów japońskich skonfiskowane. 875914 mowę. skonfiskowane.

Honolulu Hawai. Strejk został zażegnany. Monarcha się żalił, że dziennie otrzymuje od państwa do zjedzenia jednego malarza; wiece zwołane w całym kraju domagają się, aby zamiast chudego artysty, podawać dwóch tłustych wydawców.

Paryż. Wybuchła tu rewolucya.

Genewa. W Szwajcaryi powszechna rewolucya. Naród żąda zaprowadzenia monarchii.

Venezuela. Na trony południowo-amerykańskie, zamówiono z Niemiec ośm wagonów książąt krwi.

Washington. Wybuchła tu rewolucya. Tak, jak i we Francyi, domagają się wszystkie stany zaprowadzenia monarchii. Stany Texas, Dakota, Indiana wybrały królem Jakóba I, cesarza Sahary.

Paryż. Plebiscytem wybrany cesarzem Jakób I.

Reiz Greiz Schleiz. Nadano stąd ośm wagonów książąt krwi.

Londyn. Biuro Reutera zapewnia, że Stany Zjednoczone i Francyą łączyć będzie jedynie unia personalna.

Berlin. Na znak, że strejk skończony, oddały armaty 101 wystrzałów. Skonfiskowane swojego pułku grenadyerów patagońskich, skonfiskowane 1205006 mowę, skonfiskowane.

Londyn. Biuro Reutera podaje wieść o zakończeniu rokowań w Brukseli i Atenach. Uczyniono zadość wszystkim żądaniom strejkujących. Listy cywilne podniesiono o 100%, godziny pracy zmniejszono na 6 godzin rocznie. Parlament belgijski z własnej inicyatywy wyznaczył p. Cleo de Merode listę cywilną w wysokości 30,000.000.

Sachsen-Coburg-Gotha. Australia zamówiła z Niemiec telegraficznie dwanaście wagonów książąt krwi. Ze względu na oszczędność, pojechali oni w wagonach *Sechs Pferde oder vierzig Mann.*

Berlin. Skonfiskowane mundur sapeurów madagaskarskich, Skonfiskowane, 84242638. Skonfiskowane.

Londyn. Ze wszech stron donoszą, że strejk wygasł.

Reiz Greiz Schleiz. Obawy ludności, że w Niemczech zabraknie książąt krwi, są zupełnie płonne. Jest tam tego taka masa, że obsadzone mogą być nimi wszystkie trony systemu słonecznego. Na wszelki wypadek, skutkiem popytu, rozpoczęto dalszą masową produkcyę. Podaż musi stać na wysokości popytu.

Reiz Schleiz Sonderhausen. Monarchini rzekła do deputacyi ziemstw ze łzami w oczach, że na nowo podejmie starania, aby narodowi dać następcę tronu.

Londyn. Biuro Reutera donosi, że we wszystkich kancelaryach dworskich podjętą została sześciogodzinna praca rocznie.

* * *

Ostatnie dwie depesze nie mogły się już zmieścić do dziennika. Kazałem je podać w osobnym dodatku i rozlepić po mieście afiszami. Trzymając gotowy afisz w rękach, spojrzałem na zwłoki dwóch zecerów, którzy na wieść o wybuchłym strejku z rozpaczy umarli. Do zimnych zwłok przyłożyłem afisz z radosną wieścią, a zmarli natychmiast powstali. Ścigałem ich wzrokiem. Szli przez miasto i płakali. Dążyli wprost do inspektoratu podatkowego. Tam złożyli deklaracyę pisemną, że za małe płacą podatki. W uroczystej chwili zażądali podniesienia podatku zarobkowego o 30%. A ja z redaktorem poszedłem do Hawełki, aby wzmocnić działalność serca. Chcieliśmy rozmawiać o strasznych chwilach, o wypadkach politycznych dzisiejszego dnia. Ale myśl z mózgu nie mogła przejść do ust, aby zostać wypowiedzianą. Bo, gdy się w mózgu zrodziła, to nim zeszła na wargi, została już skonfiskowaną.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

Ułożyła H. z Turbii.

I.

Dla *pierwszej drugiej* — trud nieraz ponosisz
I często dziewczęce kaprysy jej znosisz —
Trzecia się dziwi, gdy wpadniesz na *czwarty*
Jak idziesz w pole biorąc z sobą charty.
Między kwiatami przy cierpliwości
Szukaj *całości!*

II.

Pierwsze i *drugie* dobrze wam znane,
Bo tak jest pewne miasto nazwane,
Drugie pierwsze imię znaczy,
Lub też rozkosz dla palaczy,
Albo wyspę w Ameryce,
Co jest kością w polityce!

Arytmogryf.

W niżej zamieszczonych kombinacyach liczby zamienić literami tak, aby środkowe litery otrzymanych 15 wyrazów, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko współczesnej poetki polskiej.

3
2 **7** 12
8 20 **2** 21 10
7 15 13 **21** 9 11 14
5 10 17 11 **7** 2 13 10 17
16 6 20 2 9 **12** 2 7 11 21 **7**
5 4 6 20 2 12 **9** 18 7 13 9 22 23
3 7 2 21 7 12 9 15 9 1 15 6 11 12 7
10 19 10 12 3 2 **9** 11 14 10 3 6 7
1 2 9 13 9 **1** 19 7 17 13 7
19 7 13 21 **15** 9 18 6 10
19 6 12 **6** 10 2 21
6 17 **11** 14 19
17 **12** 6
7

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rodzaj rośliny z gatunku dwuliścieniowych. 3. Mścicielki mordu w greckiej mitologii. 4 Imię kilkunastu królów syryjskich. 5. Filozof i matematyk francuski. 6. Panowanie urzędników i administracyi za pośrednictwem wielu urzędów i biur. 7. Własność ciał posiadania odstępów. 8. Imię i nazwisko współczesnej poetki polskiej. 9. Dział zjawisk chemicznych. 10. Przodek, zaczynający hierarchię rodziny. 11. Lud staro-italski, szczepu umbryjsko-sabelskiego. 12. Gatunek trunku. 13. Słynne zdrojowisko w arcyks. Austryackiem. 14. Rodzaj łyżew. 15. Samogłoska.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczamy: **Kosz wspaniałych winogron.**

Rozwiązania z Nru 40.

Szarada: Tatarka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Źralski Podgórze, H. Mokrzycka Turbia, A. Boroń Alsó Kubin, St. Bassara Niwiska, K. Żukiewicz Rohatyn, A. Kwieciński Woźniczna, J. Nowicki Husiatyn, A. Frickówna Zdziany, M. Hahnówna Stryj, W. Hałdziński Lichwin, M. Serafin Rzeszotary, J. Badura Rożdzień, M. Cetera Dubiecko, Romańska Łuka, Sławiński Wierzchosławice, T. Domain Sanok, J. Zamha Kocmyrzów, A. Bocsoń Bóbrka, A. Jaworski Bóbrka, J. Duszyński Niepołomice, J. Biegoń Ślemień, St. Łaszkiewicz Słotwina, A. Huzarowa Byczkowce, K. Fuchs Peczeniżyn, B. Ramułtowa Jeżów, B. Weismanówna Limanowa, Chodkiewicz Zbyduiów, W. Pisiewiczowa Sniatyn, S. Kąkol Wadowice, I. Talaga Tarnobrzeg, Żabka Biała, M. K. Księgarnia Krzyżanowskiego w Krakowie, M. Różański Gorlice, H. Andrysik Dąb.

Przytomność umysłu.

Radca szkolny ululany wraca do domu, prowadzony przez kolegę. Nagle spostrzega w oknie oczekującą go żonę:

— Przepraszam, lecz dalej nie mogę cię odprowadzić. Już jakoś sobie sam poradzisz!

Po zawarciu pokoju.

— Jakim sposobem zdobyłeś siniaka pod okiem, Piotrze?

— Rozmawiałem wczoraj z Janem o pokoju...

Nasze żonki.

— Nigdy nie byłabym przypuszczała, że tak prędko się rozwiedziesz, Rózio?

Rózia: To rzeczywiście było szczęście.

U wójta.

— Więc to ty jesteś Kaśka Smalec?

— Tak, proszę łaski pana wójta!

— Panna?

— Tak, proszę pana wójta!

— Dzieci ile?

— Troje, proszę pana wójta.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.